

**ALFRED HITCHCOCK**

# **NIECZYSTA GRA**

**NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożyła: IWONA LIBUCHA)

## ROZDZIAŁ 1

### POWRÓT URWISÓW

- Nie rób tego, Jupe - powiedział Pete Crenshaw ostrzegawczym tonem i wbił wzrok w siedzącego po przeciwnej stronie stołu Jupitera Jonesa.

- Jupe, jesteś za młody, żeby umierać - Kelly Madigan, dziewczyna Pete'a, złapała Jupitera za rękę i smutno potrząsnęła głową.

- Czy jest tutaj lekarz? - zapytał głośno Bob Andrews, obrzucając spojrzeniem zatłoczone wnętrze restauracji "U Buda".

Siedzieli wszyscy w najmodniejszej w tym sezonie knajpce, świeżo otwartej w nowym pasażu handlowym w Rocky Beach. Bud proponował swojej klienteli zdrowe jedzenie i stare seriale. Fantazyjny neonowy napis "Zdrowo i odjazdowo" otaczał ścianę telewizyjnych ekranów, po których przesuwały się właśnie czarno-białe postaci jakiegoś filmu sprzed lat. Od czasu do czasu rozlegały się wybuchy nagranych na taśmę śmiechu, które w dziwny sposób podawały w wątpliwość zbiorową troskę o stan zdrowia Jupitera.

Sam Jupiter udawał, że nie słyszy docinków kolegów. Starał się nawet na nich nie patrzeć. Był ostatni dzień wakacji, a on poprzysiął sobie, że go nie zmarnuje.

Podniósł jedną brew w charakterystyczny dla siebie sposób - było nie było, to przecież on założył agencję Trzej Detektywi, która szczyła się największą ilością rozwiązanych spraw w mieście Rocky Beach, stan Kalifornia. Za wszelką cenę musiał zachować godność. Nawet jeśli najlepsi przyjaciele znów wyśmiewają się z jego jedzenia.

Z kamienną twarzą nałożył górę kielków lucerny na sojowy kotlet - specjalność szefa kuchni. Tylko najbardziej zagorzali zwolennicy zdrowej żywności zamawiali to danie.

- I tak to zjem! - oświadczył Jupiter stanowczo i pomachał im przed nosem napchaną do granic możliwości bułką, z której wystawał jeszcze żółtawy kawałek marynowanego imbiru.

Całość prezentowała się umiarkowanie apetycznie - pomarszczony sojowy kotlet o burym odcieniu przyprawiony był szarawym sosem z korzenia łośpianu. Kilka kropli sosu spływało Jupiterowi po rękę, ale on udawał, że tego nie dostrzega.

- Co więcej - nie dam sobie zepsuć przyjemności jedzenia, choćbyście mówili nie wiem jakie rzeczy! - z miną wskazującą pełną świadomość ofiary w słusznej

sprawie bohaterski młodzieniec podniósł bułkę do ust.

Trzymał się dzielnie. Po pierwszym kęsie nawet jednym błyskiem oka nie zdradził tego, co czuje.

- On naprawdę to zrobił - szepnął z niedowierzaniem Bob.

Pete wyprostował się, prezentując otoczeniu swą wysportowaną sylwetkę i ciężko westchnął.

- Są różne diety - powiedział, odsuwając swój nadgryziony cheeseburger z bekonem. - Ty, Jupe, jesz, a ja chudnę. Wystarczy, że popatrzę na twoje jedzenie i zaraz tracę apetyt.

Z ust Jupitera wydobył się trudny do opisanego odgłos. Szybko przełknął, odchrząknął i spróbował obrony przez atak.

- Dajcie spokój. Wszyscy troje jesteście tacy... tacy... beznadziejnie amerykańscy. Dieta makrobiotyczna zakłada połączenie pierwiastków yin i yang, a to pozwala osiągnąć naturalną równowagę energetyczną. Całe społeczeństwa Dalekiego Wschodu żywią się tak od wieków.

- Teraz rozumiem - przerwał mu Bob - dlaczego to jedzenie wygląda, jakby miało ze sto lat.

Głośny wybuch śmiechu tuż za ich plecami uwolnił Jupitera od obowiązku odpowiedzi. Odwrócił się, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Spore towarzystwo zajmujące okrągły stół obok zarykiwało się, komentując oglądany właśnie film. Jupiter rzucił okiem na ekran i jęknął:

- O rany, tylko nie to...

- A co dają? - zapytała Kelly.

- Sama zobacz... - Jupiter zrezygnowanym ruchem dźgnął powietrze nabitym na widelec krolecikiem z owsianych otrębów.

- Patrzcie - ryknął śmiechem Bob. - "Małe urwisy"! Serial, dzięki któremu nasz Jupiter Jones stał się sławnym artystą!

"Słowny artysta" skrzywił się na sam dźwięk tytułu. Wiele lat temu - dokładnie czternaście - był telewizyjną gwiazdą. W "Małych urwisach" grał rozwiniętego nad wiek trzylatka z zasobem słów absolwenta uniwersytetu. Łatwa rola - wystarczyło być sobą, i tyle. Publiczność dosłownie tarzała się ze śmiechu.

Siedemnastoletni Jupiter wiedział dzisiaj, dlaczego tak było. Wystarczył jeden rzut oka na przygrubego, przemądrzałego chłopczyka i wszystko było jasne. Ludzie śmiali się z niego. Spece od rozrywki dobrze wyczuli komizm sytuacji i wykorzystali to

do oporu.

Na ekranie pojawiła się nowa postać - dziesięcioletni typek z wredną miną i złośliwym uśmieszkiem. Pracowicie pokrywał klejem taboret, na którym właśnie zamierzał usiąść mały Jupe.

- Dosyć! Jak długo można na to patrzeć? - usłyszeli od okrągłego stolika.

- Racja. Najwyższy czas, żeby się stąd wynieść - oznajmił Jupiter, odsuwając talerz z nie dojedzonym daniem.

- Poczekajcie chwilę - Bob pokazał palcem towarzystwo obok. - To Buzz Newman, wiecie - perkusista w jednej kapeli Saxa. Fajny gość. Chodźcie, to was przedstawię.

- Może... - zaczął Jupiter, ale Pete i Kelly już ruszyli za Bobem, który miał wyjątkowy talent wyłapywania z tłumu wszystkich znanych sobie muzyków rockowych.

Patrząc na niego, nikt by nie zgadł, że pod maską normalnie ubranego, schludnego blondyna kryje się fanatyczny miłośnik rock'n'rolla. Od jakiegoś czasu Bob pracował popołudniami w znanej agencji Saxa Sendlera, trudniąc się promowaniem muzycznych talentów. Tam poznał wszystkie miejscowe sławy rocka.

Tylko dlaczego, złościł się w duchu Jupiter, nie mógł tym razem zostawić faceta w spokoju, i wyjść?

Nie było rady - zmusił się do wstania i przybrał odpowiednio godną minę. Oby nikt z tamtych nie rozpoznał w nim jednego z "małych urwisów".

- Już wtedy była z ciebie niezła oferma - usłyszał czyjś okrzyk.

Zbladł. Ale nie. Długowłosey, rudy facet, który to powiedział, patrzył na kogoś zupełnie innego. Jupe spojrzał w tę samą stronę. Przystojny młody człowiek siedzący na drugim końcu stołu uśmiechał się z wyraźnym zakłopotaniem.

- Co się tak buzujesz, Buzz? - zawołał Bob do rudego.

- Cześć, Bob - Buzz uśmiechnął się szeroko na jego widok. - Usiądźcie z nami. Właśnie podziwiamy telewizyjny debiut naszego kolegi George'a.

- Daj spokój, Buzz - George był zakłopotany. - Twój koleś nawet mnie nie zna.

Kelly spojrzała na niego uważnie.

- Czekał, czekaj - widziałam cię wczoraj w telewizji. Udzielałeś wywiadu. To ty dostałeś główną rolę w nowym musicalu w teatrze Garbera!

Kiwnął głową.

- W "Niebezpiecznej strefie". Tak, to ja - łypnął niebieskim okiem w stronę Kelly.

Przerwał mu kolejny ryk śmiechu.

- Niestety tam - ze smętną miną wskazał telewizor - to też ja. Nigdy nie uda mi się naprawić tego błędu.

Jupiter wpatrzył się w ekran. Siłą woli próbował wyrzucić z pamięci bolesne wspomnienia tego, jak kręcił się po scenie przyklejony do krzesła. To było żałosne. Skupił się na wrednym typku, który do tego doprowadził. Zupełnie nagle przypomniał sobie jego nazwisko.

- Georgie Brandon - wykrzyknął.

- Georgie? - powtórzył za nim zaskoczony Buzz.

- Tak go wtedy wszyscy nazywali.

- Skąd to wiesz? - George bacznie przyjrzał się Jupiterowi.

- No bo... no bo ja... - Jupiter widział, że oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę. Przełknął ślinę. - Sam grałem w tym filmie najmłodszego dzieciaka.

- Chcesz powiedzieć, że to ty byłeś Małym Tłuscioszkiem? - spytała atrakcyjna blondynka.

Dreszcz obrzydzenia przeszedł mu po plecach. Ohydne imię. W ustach takiej ładnej dziewczyny brzmiało jeszcze gorzej.

- Ściśle rzecz biorąc nie byłem Małym Tłuscioszkiem, ale grałem osobę o tym imieniu.

- Jasne, że cię pamiętam - rozpromienił się George. Wstał i wyciągnął rękę. - Najmądrzejszy dzieciak, jakiego widziałem w życiu, i przyjacielski.

- Po prostu... byłem sobą - powiedział Jupiter, uśmiechając się skromnie, i ucisnął dłoń dawnego kolegi.

- Ja pokazałem się tylko w jednym odcinku, ale to zmieniło całe moje życie. Od tamtej chwili miałem agenta, który załatwiał wszystkie sprawy. Zacząłem występować w dużych reklamówkach. Potem okazało się, że mam świetny głos i... no wiesz - George uśmiechnął się i wzruszył lekko ramionami - reszta to już historia.

Przez moment Jupiter miał wielką ochotę powiedzieć George'owi, że jego dobre mniemanie o sobie rośnie wraz z wiekiem, ale się powstrzymał. Postanowił, że będzie uprzejmy.

- A co teraz robisz? Wiesz, nie jestem na bieżąco.

- Nie na bieżąco? Stary, ty chyba żyjesz na innej planecie - zaśmiał się George. -

Przepraszam, żartowałem. Wszystkie gazety nieustannie o nas piszą. “Niebezpieczna strefa” to największy i najdroższy musical w Los Angeles - lasery, niesamowite pokazy wschodnich walk, superhistoria miłosna. A komu przypadła główna rola? Zgadnij!

Buzz pokiwał głową.

- Mówi prawdę. Gram w orkiestrze i wiem. Nie uwierzylibyście, jaką forszę producenci pakują w to przedstawienie. Całkowita zmiana scenografii - proszę bardzo. Nowe kostiumy? Już się robi. Do dziś nie wiadomo, ile będzie numerów tanecznych, bo przyjmują jeszcze nowych ludzi. A data premiery jest ciągle przesuwana.

- Czegoś tu nie rozumiem - przerwał Pete. - Przecież już gracie, prawda? Skoro tak, to dlaczego nie dajecie premiery? Po co się tak męczyć?

- Pokazy przedpremierowe trwają zwykle kilka tygodni - wyjaśnił Buzz. - Taki jest zwyczaj. Chodzi o to, żeby zobaczyć, czy przedstawienie sprawdza się na scenie, jak reaguje publiczność, gdzie są jakieś słabe miejsca. Czasami w ciągu jednej nocy dopisywane są całe nowe fragmenty. Dopiero gdy zlikwiduje się wszystkie obsuwy, przychodzi czas na premierę, I na zaproszenie recenzentów.

- Jeśli czas premiery w ogóle nadejdzie - dorzucił George.

- Nie jesteście jeszcze gotowi? - zapytał Bob.

- To nie tak. Im się wydaje, że zrobią coś absolutnie doskonałego. Marzy się im Broadway. A sukces w Nowym Jorku oznacza występy w całych Stanach, kontrakty filmowe i bardzo wielką forszę.

- Dobrze wiesz, George, że to nie jest jedyny powód, dla którego wciąż przesuwają premierę - do rozmowy włączył się przystojny, ciemnowłosy człowiek.

- W porządku. Masz rację, Vic - w głosie George'a pojawił się cień poczucia winy. - Ale nie mówmy teraz o tym, dobra? Staram się zrobić dobre wrażenie.

- Czy ktoś z państwa zamawia kawę albo deser? - do stołu podeszła kelnerka.

Trzej Detektywi i Kelly usiedli ze wszystkimi.

- Co się z tobą działo przez te wszystkie lata, chłopie? - George przysunął się do Jupitera.

Ten sięgnął do kieszeni po wizytówkę i bez słowa podał George'owi.

**TRZEJ DETEKTYWI**  
**Badamy wszystko**

**Jupiter Jones . . . . . założyciel**  
**Pete Crenshaw . . . . . współpracownik**  
**Bob Andrews . . . . . współpracownik**

Tylko Jupiter swym byстрыm okiem dostrzegł zmianę wyrazu twarzy George'a. Nikt inny nie zwróciłby uwagi na ślad uśmiechu ani błysk zainteresowania w jego oczach. Ale Jupiter nie był ot takim sobie zwykłym obserwatorem.

- Musimy kiedyś pogadać - rzucił od niechcienia.

- A co byś powiedział, gdybyśmy zrobili to teraz? - George rozejrzał się ukradkiem dookoła siebie, potem wstał i wyjął z kieszeni pięć dolarów.

- Za mnie chyba wystarczy - podał pieniądze Buzzowi. - Idę na świeże powietrze pogadać chwilę ze starym kumplem.

Buzz złapał banknot i kiwnął nieuważnie głową, nie przerywając rozmowy z Bobem. Dwie albo trzy dziewczyny, pochylone nad stołem, także nie spuszczały oczu z naszego blond detektywa. Jupiter po raz kolejny zachodził w głowę, w jaki sposób Bob to robi. Zawsze, bez żadnego starania, udaje mu się wzbudzić zainteresowanie płci pięknej.

Ruszył za George'em, żegnanym okrzykami towarzystwa. Spojrzeniem zasygnalizował Pete'owi, żeby szedł z nimi. Mimo starań nie udało mu się zwrócić uwagi Boba. Trudno, później wprowadzą go w sprawę. Na szczęście Kelly była tak zagadana, że nie zauważyła ich odejścia.

Wszyscy trzej przeszli korytarzem w stronę nie wykończonej części pasażu i usiedli na stosie desek przed jednym z urządzonych dopiero sklepów. George znowu rozejrzał się dokoła.

- W porządku - powiedział. - Nikogo. Woląłem sprawdzić - dodał poważnie. - Muszę wiedzieć, czy naprawdę jesteście detektywami. To nie żart, co?

- Daję ci moje słowo - chrząknął Jupiter.

- Mam nadzieję, że mogę wam zaufać - George zniżył głos.

- Pewnie się domyśliliście, że wpadłem w kłopoty. Duże kłopoty.

Jupitera rozśmieszył tragiczny ton głosu George'a, ale nie dał tego po sobie poznać. Pokiwał domyślnie głową.

- Pewnie ktoś czyha na twoją rolę, tak?

- Nie. Ktoś czyha na moje życie.

- Dlaczego? - zapytał Pete niedowierzająco.

- Gdybym to wiedział, nie kryłbym się teraz z wami po kątach - zachnął się George. - Od tygodnia dostaję dziwne listy. I jeszcze te telefony...

- Jakie telefony? - przerwał mu Jupiter.

George wzruszył ramionami.

- Czasem to po prostu głuche telefony. Czasem ktoś ponurym głosem mówi mi: "Dostaniesz za swoje". Raz jakiś facet z wyraźnym brytyjskim akcentem wyrecytował: "Strzeż się, potomku Tespisa!" Wicie, Tespis to najstarszy aktor starożytnej Grecji.

- Wiemy. Mów dalej - zniecierpliwił się Jupiter.

- Najgorzej jest kiedy ktoś, to może być mężczyzna albo kobieta, nie jestem pewien, chichocze w słuchawkę.

- A co jest w listach?

- Chłopie, musi wymyślać je jakiś wariat - George aż się wstrząsnął. - Pisze, że umrę na tronie we krwi, że jakiś las ruszy, żeby mnie wciągnąć w mrok...

- Trzeba je obejrzyć. Na pewno znajdziemy w nich coś, co pomoże zidentyfikować nadawcę - odezwał się znowu Jupiter.

George zrobił głupią minę.

- Rany - sapnął. - Zgadnijcie, kto wyrzucił je do kosza?

- Niecee! - jęknął Pete.

- Wicie, one były... pomyłone, ale nie wydawały się groźne. Myślałem, że pisał je jakiś ześwirowany wielbiciel. Ale potem zaczęły się te wszystkie wypadki.

- Wypadki?

- Spadające fragmenty dekoracji, nożyczki i brzytwa na podłodze tuż przed moim tanecznym numerem - w oczach George'a pojawił się prawdziwy strach. - Słuchajcie, ja naprawdę potrzebuję pomocy. Myślałem nawet o wynajęciu prywatnego detektywa, ale to nie miałoby sensu. Każdy by się domyślił, dlaczego jakiś starszawy agent szwenda się za kulisami. Ale trzech młodych facetów? Genialny pomysł! Zawsze mogę powiedzieć, że jesteście moimi przyjaciółmi. Błagam was, zgódźcie się. Potrzebuję was.

Pete spojrzał na Jupitera. Nie zdziwił się wcale, gdy w jego oczach zobaczył znajomy błysk podniecenia. Tak było przed każdą nową sprawą.

- Jeden warunek - usłyszał poważny głos przyjaciela.

- Wal - odpowiedział George z promiennym uśmiechem.

- Nikt w teatrze nie może wiedzieć, kim jesteśmy. W razie gdyby to była robota



kogoś z wewnątrz.

- Umowa stoi. Spotkajmy się w mojej garderobie dziś wieczór około szóstej. Mam zjawić się u charakteryzatora dopiero o wpół do siódmej, więc zdążę oprowadzić was po teatrze. Zresztą, wiecie co? Przyjdźcie wcześniej, to zobaczycie mój wywiad dla telewizji, przed wejściem do budynku.

Podał rękę najpierw Jupiterowi, potem Pete'owi i dorzucił zadowolony:

-Wspaniale! Nie mogę uwierzyć, że na was trafiłem.

Jupiter poczuł w gardle charakterystyczny skurcz. Od dawna nie był tak poruszony. Tego rodzaju emocje trafiły się mu w życiu raz, dawno temu, ale rozpoznał je natychmiast. Podobne podniecenie odczuwał tylko w dzieciństwie, gdy grał w "Małych Urwisach."

Wydawało się mu, że nienawidzi wszystkiego, co związane jest z przemysłem rozrywkowym. Zawsze wspominał Małego Tłuscioszka z zażenowaniem i wstydem. I nagle uświadomił sobie coś, do czego nigdy przedtem się nie przyznawał - miał scenę we krwi.

Nie mógł się doczekać, kiedy ugryzie tę sprawę!

## ROZDZIAŁ 2

### NIEBEZPIECZNY SYGNAŁ

Późnym popołudniem Jupiter podjechał pod dom Pete'a. Nie zdążył nawet nacisnąć dzwonka, kiedy drzwi otworzyła mu rozpromieniona Kelly.

- Cześć, Jupe - powiedziała, poprawiając wystrzałową kreację na wąziutkich szelkach.

Jupiter był trochę zaskoczony.

- Nie miałem pojęcia, że wybierasz się z nimi. Wiesz, idziemy tam służbowo i...

- Nie martw się. Nie będę wam przeszkadzać. Po prostu chcę zobaczyć "Niebezpieczną strefę", zanim reszta moich znajomych na nią pójdzie.

- W porządku. Gdzie Pete?

- Na górze. Nareszcie do niego dotarło, że nic może iść do teatru w dżinsach i podkoszulku. Wściekł się, kiedy przyszedłam w tej sukni, ale pękł i pognał się przebrać, kiedy przez okno zobaczył ciebie.

- Wiesz, zawsze twierdzę, że dżinsy są w porządku - Jupiter zamknął za sobą drzwi i wszedł do pokoju - ale sam wolę strój wizytowy.

Pokiwał głową, a czarna muszka zakołysała się w takt jego słów.

- Wyglądasz ekstra w garniturze - Kelly obrzuciła go baczny spojrzeniem.

Poczuł się głupio. Z ulgą zobaczył zbiegającego po schodach Pete'a, któremu mankiety koszuli wystawały nieco z rękawów niebieskiego blezera.

- Ostatnim razem miałem to na sobie - zachichotał Pete, pokazując sweter, który z trudem dopinał się na piersiach - na wręczeniu matur.

Wyprostował muskularną sylwetkę i wtedy rozległ się trzask pękającego materiału.

- Jak widać urosłem od tamtego czasu. Lecimy, bo jeszcze muszę odebrać samochód. Warsztat zamykają za piętnaście minut.

- Warsztat? - Jupiter zdębiał. Dogonił przyjaciół dopiero za drzwiami. - Dlaczego nie możemy pojechać moim autem? Jest na miejscu.

Pete westchnął ciężko na widok zdezelowanej półciężarówki, którą Jupiter wyciągnął kiedyś spod sterty gratów na podwórzu ciotki Matylidy i wuja Tytusa.

- Nie chcę cię urazić, Jupe, ale to dobre dla ekipy technicznej. Takie samochody nie podjeżdżają pod wejście dla publiczności.

- Mój jest przynajmniej na chodzie - Jupiter próbował protestować.

- Moja też - powiedział Pete z dumą. - To cudna stara toyota corolla. Ma na liczniku tylko dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Przyuważyłem ją wczoraj na policyjnej aukcji i nie wahałem się ani przez chwilę. Teraz jest na przeglądzie.

- Przeglądzie? - Jupiter zamarł. - A jeśli jej nie zarejestrują? Jest prawie piąta i nie możemy sobie pozwolić...

- Nie pękaj, stary - zaśmiał się Pete. - Rano wszystko było w porządku, światła działały, i w ogóle. A poza tym, mechanik to mój stary znajomy.

- Już to kiedyś słyszałam. Lepiej się pośpieszmy - Kelly złapała ich za ręce i pociągnęła do samochodu Jupitera.

Po chwili wysiedli przed Centrum Diagnostyki Samochodowej. Już od drzwi Pete dopominał się o swoje ukochane auto. W środku było cicho i trochę niesamowicie. Las hydraulicznych podnośników rzucał długie cienie na podłogę. Z plastikowego fotela w najdalszym kącie sali podniósł się sennie mechanik i nieprzytomnym okiem spojrzął na zegar.

- To już piąta? Chyba się zdrzemnąłem. Czym mogę służyć, synu?

- Przyszedłem odebrać samochód. Stalowszara corollę, pamięta pan?

Mechanik podrapał się po głowie.

- Stalowszara, stalowszara... A, już wiem. Mówisz o tej? - i pokazał palcem w górę.

Pod całą trójką ugięły się kolana. Wysoko na podnośniku stał samochód Pete'a z wybebeszonymi wnętrzościami, jakieś kable zwisały z bagażnika. Pod spodem gęsto było od tłustych plam.

- Al, co pan z nią zrobił? - z trudem wyjąkał Pete.

- Jeszcze nic - wzruszył ramionami Al. - zużyty wał korbowy. Z takim wałem nie zarejestrują żadnego pojazdu.

- Co za wał?

- Jest tak - zaczął wyjaśniać Al. - Tu, widzicie, jest drążek kierownicy, a tu łącznik, który obraca koła. Ale musi być coś, co wprawia to wszystko w ruch. Znaczą się silnik, tylko że bez korbowodu nie pracują tłoki, a gdy nie pracują tłoki...

- Al!

- No więc - wał korbowy zrobiony jest z metalu, a żaden metal jak każdy wie, nie jest wieczny.

- Trzeba zaraz wstawić nowy - denerwował się Pete.

- Nie da się - potrząsnął głową Al. - Nie trzymamy wałów korbowych w

magazynie. Nikt nie trzyma. Kiedy trzeba, zamawia się go bezpośrednio u producenta i już. Będzie za dwa tygodnie. Albo za trzy.

Zachichotał i odchodząc rzucił przez ramię:

- Mam nadzieję, że macie roś innego, bo to słoneczko nie może stąd wyjechać.

- Wezmę go tylko na dziś wieczór - błagał Pete.

- Nie ma mowy. Nie możesz, synu, jeździć nie zarejestrowanym samochodem.

No, chyba że lubisz płacić mandaty, zresztą i tak wyrzuciłem stary wał.

- Co? Jak pan śmiał!

- Samochód, kolego, zostaje u mnie. Chyba wyrażam się jasno?

Pete wbił oczy w ziemię.

- Tak... Dzięki, Al.

Wrócił jak niepyszny do ciężarówki Jupitera, starając się nie zauważać oskarżycielskiego spojrzenia Kelly.

- Auu! Jupe, powoli. Nie uczyli cię, jak jeździć po wybojach? - Pete skurczył się na siedzeniu, rozcierając obolałą głowę.

- Przepraszam, nie zauważyłem tej dziury.

Kelly, wciśnięta między nimi, wierciła się niezadowolona.

- Całe szczęście, że nie ma Boba. We czwórkę bylibyśmy jak sardynki w puszcze.

- Przynajmniej on dobrze się bawi - Pete był wściekły. - Siedzi sobie teraz u Saxa i przesłuchuje nowych muzyków. To się nazywa robota.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę - łagodził Jupiter. - Już dojeżdżamy.

I rzeczywiście. Zaraz za rogiem zobaczyli dwa białe wozy transmisyjne. Płatanina kabli, przymocowanych do chodnika szeroką, srebrną taśmą, ciągnęła się aż do głównego wejścia do teatru. Kamerzyści biegali jak szaleni, wykrzykując polecenia i ustawiając światła.

Nad tym wszystkim wznosił się wysięgnik dźwigu z wielkim, prostokątnym napisem "Niebezpieczna strefa". Kilku facetów starało się umieścić tablicę tuż nad markizą osłaniającą frontowe drzwi budynku. Jupiter wystawił głowę przez okno samochodu, żeby lepiej widzieć całe to zamieszanie.

- Wygląda na to, że zdążyliśmy - odetchnął z ulgą Pete. - Jeszcze nie zaczęli kręcić wywiadu.

- Hej, Jupe! Tutaj - usłyszeli głos George'a Brandona.

George siedział pod markizą na wysokim składanym krześle. jakiś mężczyzna w

czarnym golfie układał mu włosy, a drobna kobieta co chwilę przecierała mu czoło pudrem. Oboje nie wyglądali na zachwyconych, kiedy George niespodzianie wstał i wrzasnął na cały głos:

- Zapraszam do naszego domu wariatów. Kamery zaraz ruszą!

- Ujęcie pierwsze. Zająć miejsca! - krzyknął brodaty facet z kucykiem. - Proszę usunąć się z planu - dodał, tym razem przez tubę, żeby Jupiter go usłyszał.

Zaparkowali przecnicę dalej i pędem wrócili pod teatr. Stanęli w tłumie ciekawskich, tuż przy policyjnych barierkach, którymi odgrodzono wejście.

George, gotowy do wywiadu, stał z boku po prawej stronie. Fryzjer spryskiwał właśnie litrami lakieru włosy kobiety w bluzce zgniecionego jedwabiu i w powiewnej spódnicy. Kiedy skończył, kobieta wzięła mikrofon i ruszyła w stronę George'a. Przystanęła na moment przed najbliższą kamerą, żeby zaprezentować publiczności olśniewający uśmiech.

- Nie! To sama Jewel Coleman z "Co nowego w mieście?" Uwielbiam ten program - podskoczyła Kelly.

- To plotki, nie dziennikarstwo - wzruszył ramionami Jupiter. - Jedne głupki mówią o drugich głupkach.

- Ale zaprasza do programu superfacetów i... - Kelly przerwała, bo Jupiter spojrział z pogardą, a Pete wydał z siebie jęk obrzydzenia.

Machnęła ręką z politowaniem.

- Wy dwaj nigdy tego nie zrozumiecie.

Jewel Coleman zaczęła mówić i tłum zamilkł.

- Jak wszyscy bywalcy zapewne wiedzą, "Niebezpieczna strefa" to tytuł nowego, długo oczekiwanego musicalu. Kilka tygodni temu w teatrze Garbera zaczęły się pokazy przedpremierowe. Świetna zabawa, oryginalne dekoracje. O tym spektaklu już mówi się w mieście. Tymczasem tu, na miejscu, atmosfera jest coraz bardziej napięta. Myślicie, że to zwykła trema przed premierą? Nie tylko. Zespół reporterów kanału pierwszego wysłedził, że u Garbera miały ostatnio miejsce dziwne wypadki. Wszystko zaś skupia się wokół młodego George'a Brandona, gwiazdy tego przedstawienia.

- George, powiedz, proszę, w jaki sposób "Niebezpieczna strefa" stała się prawdziwie niebezpieczną strefą dla ciebie?

George już otwierał usta, żeby zadowolić ciekawość telewidzów, kiedy robotnik, stojący tuż przy dźwigu, wrzasnął głośno:

- Uwaga! Leci!

Jewel Coleman z przeraźliwym piskiem dała nura pod markizę. Inni rozpierzchli się na boki, gubiąc po drodze notatniki, nadgryzione kanapki, sprzęt nagrywający.

Jupiter spojrzał w górę. Wielki napis "Niebezpieczna strefa" zwisał z dźwigu, zaczepiony na jednej jedynej cienkiej lince. Pozostałe liny powiewały luźno na wietrze.

- George - krzyknął ostrzegawczo Jupiter, kiedy sznur puścił z trzaskiem i tablica poleciała wprost na głowę aktora.

## ROZDZIAŁ 3

### ZAKULISOWE KŁOPOTY

George rzucił się na chodnik i przetoczył na jezdnię w sam czas. Tablica z ogłuszającym hałasem upadła na ziemię.

Jupiter, Pete i Kelly zasłonili głowy i skulili się za barierkami. Przez chwilę dokoła panowała absolutna cisza. Parę kroków od miejsca, w którym stał przedtem George, piętrzyła się teraz góra zgniecionego plastyku i połamanych desek.

- Nic się wam nie stało? - zapytał Jupiter.

- Nie - Pete i Kelly odpowiedzieli niemal równocześnie.

- Niezły bałagan - pokręcił głową Pete. - Aż dziw, że to wszystko wylądowało w miejscu, gdzie nikt nie stał.

- Tak. Ale nie jestem pewny, czy bałagan to dobre określenie - i Jupiter ruszył w stronę George'a.

W oddali rozległ się dźwięk policyjnych syren. Ludzie podnosili się z ziemi, otrzepywali ubrania, przyglądali pobojuwisku.

Jupiter przepchnął się przez tłum otaczający George'a. Pete i Kelly deptali mu po piętach. Operatorzy kłębili się wszędzie, czyhając na dobre ujęcia. Wszystkie obiektywy wycelowane były w George'a.

- Skręciłeś wszystko? - dopytywał się gorączkowo siwowłosa mężczyzna o poważnym wyglądzie.

- Jakbyś zgadł, C.G. - odpowiedział jeden z kamerzystów. - Mam twarz Brandona, reakcje tłumu, złapałem moment, kiedy napis walnął o ziemię...

- Cudownie - ucieszył się C.G. - Przyjechaliśmy tu robić bzdurkę, a mamy wiadomość na pierwsze strony. Po prostu świetnie.

- Przepraszam, przepraszam - Jupiter torował sobie drogę łokciami. Słyszał już głos George'a, ale wciąż go nie widział.

- Nie, nic mi nie jest... Dziękuję. To stało się tak niespodzianie...

Jupiter przebił się w końcu do środka grupy. Niestety, okazało się, że Jewel Coleman była lepsza. Siedziała właśnie na krawężniku obok George'a i patrzyła w kierunku kamer.

- Macie mnie? - spytała.

- Tak.

Natychmiast przybrała zatroskany wyraz twarzy i zaczęła:

- Jak wszyscy mogli przekonać się na własne oczy, "Niebezpieczna strefa" zasłużyła sobie na taki tytuł. George, zwracam się do George'a Brandona, co czuleś widząc tę ogromną tablicę przelatującą tuż obok ciebie? Czy zdawałeś sobie sprawę, że zaledwie kilka centymetrów dzieli cię od śmierci?

- Od śmierci? - wydawało się, że cała krew odpłynęła mu z twarzy. - To nie było aż tak blisko.

Jewel pokiwała poważnie głową.

- Jestem pewna, że całe mnóstwo młodych ludzi odetchnęło z ulgą na wieść, że ich idol nie został zmiądzony przez jakąś idiotyczną reklamę. Jerry - dodała szybko - poproszę o zbliżenie na te resztki.

George także spojrział w tamtą stronę i głośno przełknął ślinę. Potem zauważył znaki, jakie daje mu Jupiter, i szybko odwrócił się do dziennikarki.

- Przepraszam, ale pora na mnie. Powinienem już być w garderobie. - Zdobył się na słaby uśmiech. - Służba sztuce przede wszystkim.

Szybko wstał, złapał Jupitera i mruknął tak, żeby nikt ich nie słyszał:

- Idziemy. Udawaj, że jesteś moim gorylem, albo coś w tym rodzaju.

Jak spod ziemi wyrósł przed nimi Pete.

- Miejsce. Proszę zrobić miejsce - warknął tonem, którego używał wyłącznie na boisku piłkarskim.

Ludzie rozstępowali się posłusznie na sam widok muskularnego, wysokiego młodzieńca. Bez przeszkód dotarli do wejścia dla aktorów. Jupiter kątem oka dojrzał Kelly nie odstępującą ich ani na krok. Nikt im nie przeszkadzał. Ekipa telewizyjna ruszyła z kamerami w stronę policyjnych samochodów, które właśnie zatrzymały się przed teatrem.

Przy wejściu dla aktorów stał tęgi mężczyzna z kilkudniowym zarostem.

- Wszystko w porządku, chłopcze? - zapytał George'a.

- W porządku. Dzięki, Luther.

- Kim są ci ludzie? - Luther podejrzliwym wzrokiem zmierzył Jupitera i Pete'a.

- Moi przyjaciele. Nie martw się.

George odwrócił się do Jupitera.

- Macie przed sobą najlepszego cerbera na świecie. Nie wpuści nawet prezydenta, zanim wcześniej nie sprawdzi, czy to na pewno on.

Ponurą twarz Luthera rozjaśnił uśmiech.

- No, wchodźcie już, bo zamykam. Zostaniecie na zewnątrz, jeśli się nie



pośpieszycie.

Szybko wśliznęli się do środka. Było cicho. Wydawało się, że od zgiełku ulicy dzieli ich ogromna przestrzeń. Teatralny chaos polegał na czym innym.

Korkowa tablica wisząca w małym holu, do którego weszli za George'em, nie mogła pomieścić wszystkich informacji. Kartki i karteczki przypięte pinezkami pokrywały każdy centymetr powierzchni, zachodziły na siebie, wisiały jedne na drugich. Ściana nad automatem telefonicznym zapisana była od góry do dołu bezładną na pierwszy rzut oka plątaniną numerów.

Drzwi w głębi, z tabliczką LUTHER SHARPE, były nie domknięte. Jupiter dyskretnie zajrzał do środka - na haczykach wisiały klucze do wszystkich teatralnych pomieszczeń.

Tuż obok znajdowało się wejście za kulisy.

- Zaczekajcie chwilę - krzyknął za nimi Luther. - George, w garderobie masz gości. Nie będą zadowoleni, kiedy wprowadzisz tam obcych ludzi.

- Kto to?

- Panowie Firestone i Crocker.

- No, no! - gwizdnął George. - Sam producent z najważniejszym facetem od finansów! Czemu zawdzięczam ten honor? Wiesz coś o tym, Luther?

- Co nieco. Wylecieli na ulicę, kiedy zaczęła się cała afera, ale wrócili, widząc, że nic ci nie jest. Kazali mi tylko dostarczyć cię w całości do garderoby.

- Nadzwyczajna troska o bliźnich. To lubię w nich najbardziej - mruknął George i otworzył drzwi prowadzące za scenę. - Nie ma wyjścia, muszę stawić im czoło. - I udając, że wyjmuję miecz z pochwy, zakrzyknął: "Raz, przyjaciele, jeszcze do wyłomu..."\* [William Shakespeare, Henryk V, akt III, sc.1. w przekładzie Leona Ulricha].

Pete zdębiał i pytająco popatrzył na Jupitera.

- Szekspir - wyjaśnił tamten. - Król Henryk V zagrzewa żołnierzy do walki.

- Aha - Pete nie wydawał się doceniać żartu.

- Przypomniało mi to - ciągnął nie zrażony Jupiter - anonimy do George'a. Pamiętaj - tron we krwi i las, który się rusza?

- Pewnie. Głupie pomysły.

- Teraz mi się wydaje, że to też pochodzi z jakiejś sztuki.

- I co z tego?

- To pierwszy istotny ślad.

- Rozumiem - wtrąciła się Kelly. - Sądysz, że listy wysyłał ktoś związany z teatrem, prawda?

- To wysoce prawdopodobne - powiedział Jupiter poważnym tonem i wszedł za kulisy.

- Skręćcie w prawo i zaczekajcie - usłyszeli głos Luthera. - Tylko trzymajcie się z daleka od sceny.

Wewnątrz było ciemno. Wszędzie stały kosze pełne kostiumów, stoły z rekwizytami, a nawet jeden bok samochodu. Z lewej strony zobaczyli jasno oświetloną scenę. Na drewnianych drzwiach w kącie korytarza wisiała metalowa błyszcząca gwiazda. Po wizytówce poznali, że to tam jest garderoba George'a. Ze środka dochodziły zdenerwowane głosy.

- Ci faceci nie są specjalnie zadowoleni - powiedział Pete, pokazując głową drzwi.

- Zostańcie tutaj, a ja się trochę pokręcę po teatrze. Tylko miejcie uszy otwarte. Pete, daj mi znać, kiedy ci ludzie wyjdą, dobrze? - i Jupiter odszedł rozglądając się wokół.

Z obu boków sceny znajdowały się wielkie pomieszczenia zwane w gwarze teatralnej kieszeniami. Zajrzał do jednego - obsługa sceny, dekoratorzy, technicy biegali we wszystkich kierunkach. Warczały elektryczne wiertarki. Ktoś mówił do walkie-talkie, próbując przekrzyczeć panujący wokół hałas.

Jupiter poczuł szybsze uderzenia serca. Cały ten zgiełk, ciepło bijące od wielkich reflektorów, ciemna otchłań pustej teraz widowni sprawiały niesłychane wrażenie. Prawdziwe życie wydawało się odległe o setki kilometrów.

A tutaj armia oddanych sprawie specjalistów budowała inny świat, tworzyła fantazję.

Nagle w głębi sceny drgnęła dekoracja. Maszyniści w wysłużonych kombinezonach powoli podciągali liny i ściana podziemnej jaskini, z której wystawały wielkie głazy, uniosła się. Tu i ówdzie zamaskowano małe reflektory oświetlające niesamowitym światłem fragmenty powierzchni. Z drobnych spękań sączyły się strużki wody. Było to prawdziwe arcydzieło zrobione z gipsu i masy papierowej.

Kiedy jaskinia zniknęła nad sceną, w ukrytej przed oczami widzów sznurowni, z góry zjechała inna dekoracja, którą pieczołowicie ustawiono w miejsce poprzedniej.

Uwagę Jupitera przyciągnął rząd żarówek błyskających we wnęce tuż przy głównej kurtynie. Umieszczono tam pulpit z masą przycisków i przełączników oraz

klawiaturę komputera. Monitor stał wyżej, na drewnianej półce przytwierdzonej do ściany. Na haku obok wisiały słuchawki.

Jupiter nie mógł się oprzeć. Potrafił godzinami przesiadywać przed komputerowym ekranem, więc teraz - kiedy i tak musiał czekać na George'a, postanowił zrobić użytek ze swych umiejętności. Rozejrzał się ostrożnie. Wszyscy byli zajęci. Przemknął się chyłkiem do wnęki i zaczął czytać:

“NIEBEZPIECZNA STREFA”

Teatr Garbera, Los Angeles

Światło, dźwięk, zmiana dekoracji - sygnały

J. Bernardi - inspicjent

J. Everson - asystent inspicjenta

1. Światło - J.B. podnosi rękę

2. Dźwięk - J.B.: “Ostatni człowiek na ziemi”

3. Dźwięk... - znak daje dyrygent

4. Światło - chłopcy na środku sceny

Naciśnij Return, żeby kontynuować

Użyj kursora, żeby podświetlić listę sygnałów

F1-Menu poleceń F2-Edycja

F3 - Dodaj linijkę F4 - Sortuj

Jupiter zaczął bawić się klawiaturą - przewinął ekran w górę i w dół, sprawdził wszystkie menu i ich zawartość.

- Hej, ty! - usłyszał nagle głośny okrzyk.

Błyskawicznie cofnął ręce i spojrzał w tył. Zbliżał się do niego młody maszynista z długimi blond włosami i zmierzwioną brodą. Spod odwiniętych rękawów jego flanelowej koszuli wyzierał tatuaż.

- Na co ty sobie pozwalasz, kolego? - zapytał, mierząc Jupitera podejrzliwym wzrokiem.

Jupiter przyjrzał się mu uważnie.

- Facet, który ostrzegł George'a - stwierdził w końcu.

- Co?

- To pan wrzasnął na George'a, tuż przedtem, kiedy zerwał się wielki napis nad wejściem. Pamiętam pana twarz.

Na krótką chwilę maszynista oniemiał.

- No i co z tego? Teraz, koleś, lepiej będzie, jeśli się stąd zabierzesz. Idź się bawić własnym komputerem i trzymaj się z daleka od naszego. Nie pamiętam, żebyś był inspicjentem.

- Słuszna uwaga - kiwnął głową Jupiter. - Wróć tylko do poprzedniego ustawienia. - Już, już zabierał się do dzieła, kiedy ciężka ręka wylądowała mu na ramieniu i brutalnie szarpnęła w tył.

- Słyszałeś, co mówiłem? Spadaj stąd! Może ci to przeliterować?

Jupiter spojrzał na brudny ślad na ramieniu.

- Proponuję, żeby wstrzymał pan gniew na chwilę, a ja postaram się wyjaśnić...

- Słuchaj, gnojku. Nie mam czasu na wysłuchiwanie twojej dętej gadki. Jeśli zaraz nie znikniesz, młotku, nie ręczę za siebie. Sam wyrzucę stąd twój tłusty tyłek - i wyciągnął rękę.

Jupiter poczuł, jak ze złości krew uderza mu do głowy. Cofnął się o krok.

- Radzę trzymać ręce przy sobie - wycedził.

- Nie! - wybuchnął blondyn. - Pomyliłem się. Młotek to nie jest dobre słowo, kmiotku. Straszny z ciebie kmiot!

I pchnął Jupitera tak silnie, że chłopak zachwiał się i omal nie upadł. Potem zacisnął pięści i zbliżył się o krok.

- Ostrzegałem - krzyknął rozwścieczony Jupiter i przyjął obronną postawę, której nauczył się na kursie judo. Z gardła tamtego wydostał się złośliwy chichot.

- Aż tym sobie poradzisz, chłoptysiu? - stanął w pozycji kokutsu-dachi, z idealnie ustawionymi stopami i wzniesioną ręką. Zanim Jupiter zdążył zareagować, maszynista runął na niego klasycznym ciosem seiken.

Jupiter uchylił się zręcznie. Dał krok w tył, żeby znowu stanąć w pozycji obronnej, ale potknął się o leżący w kącie zwój sznurów i z głośnym "Auu" wylądował na ziemi. Kiedy spojrzał w górę, zobaczył podeszwę ciężkiego buta, który w błyskawicznym tempie zbliżał się do jego twarzy.

## ROZDZIAŁ 4

### AWANTURA W GARDEROBIE

- Ej, ty!

Jupiter skupił całą energię na tym, żeby wymknąć się swojemu prześladowcy, i wcale nie był pewien, czy naprawdę słyszy jakiś obcy głos i szybkie kroki, zmierzające w jego kierunku. Nie był nawet pewien, czy rzeczywiście udało mu się wywinąć.

Dopiero gdy ciężki but wylądował z hukiem na podłodze, a nie na jego twarzy, odetchnął z ulgą. Rozejrzał się - leżał niewiele ponad metr dalej, tuż obok pechowych sznurów. Wprawdzie zawiodły go umiejętności walki wręcz, ale wciąż był cały i zdrowy.

- Zabieraj się stąd, Bruno - usłyszał.

Wysoki mężczyzna z szopą siwych włosów stał obok. W jego głęboko osadzonych oczach malował się gniew. Musiał należeć do zespołu technicznego, bo miał na sobie spodnie khaki i bluzę z logo przedstawienia. Pete i Kelly stali tuż za nim.

- Nic ci nie jest? - Pete wyciągnął rękę i pomógł Jupiterowi stanąć na nogi.

- Wszystko w porządku - Jupiter otrzepał się z godnością - biorąc pod uwagę fakt, że w rezultacie serdecznego powitania omal nie pozbawiono mnie tutaj głowy.

- Pilnuj się, Bruno, jeśli nie chcesz stracić pracy - warknął siwowłoso.

- Daj spokój, Jim. Nie miałem zamiaru zrobić krzywdy temu bubkowi. Chciałem go tylko przestraszyć. Dorwał się do twojego komputera i nie chciał odejść. A poza tym, to obcy typ. Skąd on się tu wziął?

- Tak się składa, że to przyjaciel George'a. Teraz wracaj do roboty. Sam się tym zajmę.

I Jim wyciągnął rękę do Jupitera.

- Jim Bernardi - przedstawił się. - jestem tu inspicjentem. Mówił z silnym nosowym akcentem, a głoski "r" w jego wykonaniu brzmiały trochę chrapliwie.

- Właśnie rozmawialiśmy z twoimi przyjaciółmi, kiedy usłyszałem hałas. Przepraszam za ten napad.

Jupiter nadstawił uszu. Zawsze pochlebiał sobie, że umie rozpoznawać ludzi po akcencie.

- Jest pan z Nowego Jorku, prawda? - Jupiter był pewny, że trafił.

- Taa. Ściśle rzecz biorąc z Brooklynu. Po drodze zahaczyłem też o Long Island. Jak na to wpadłeś?

- Zgadłem. Dzięki za uratowanie mojej twarzy.

- Nie ma sprawy. Jeśli Bruno próbowałby ci kiedyś grozić, daj mi znać.

- Dobrze - zaśmiał się Jupiter. - Właściwie sam jestem sobie winien, bo bez pozwolenia wtykałem nos w cudze sprawy.

- A wtykaj go sobie, jeśli masz na to ochotę - machnął ręką Bernardi. - Mogę ci nawet w tym pomóc.

- Naprawdę? - krzyknęła Kelly. - I oprowadzi nas pan po teatrze?

- Nie ma sprawy. Chcecie zacząć od razu?

Jupiter kątem oka spojrział na Pete'a, na którego twarzy malował się całkowity brak zainteresowania, i uśmiechnął się w duchu.

- Lepiej będzie, jeśli poczekam na George'a - rzucił Pete, łapiąc z ulgą sportowe pisma, które dostrzegł w kącie. - Wiecie, ci ludzie mogą zaraz wyjść z jego garderoby.

Usiadł pod drzwiami i wsadził nos w gazety.

Jupiter nieuważnie kiwnął głową. Musiał przemyśleć całą sprawę. Pytania kłębiły mu się w głowie. A więc Bruno, ten ponury typ. Ciekawe, czy wie coś o zamachach na George'a? Dlaczego stał przy dźwigu, kiedy zerwał się napis? Dlaczego z taką furią zaatakował Jupitera?

A jeśli nie Bruno, to kto? Na przykład osoba, która bez wzbudzania podejrzeń może zakłócić pracę ekipy technicznej.

Inspicjent? Brygadzysta sceny? Właściwie każdy, kto pracuje za kulisami! Należy działać powoli. Dyskretnie sprawdzić ludzi odpowiedzialnych za rekwizyty i zmiany dekoracji.

Tymczasem Bernardi wprowadził ich na scenę.

- To całkiem niezła rzecz - mówił. - Historia młodych Amerykanów, którzy pojechali i do Japonii uczyć się walk Wschodu. Kiedy wybucha druga wojna światowa, zostają internowani. George gra ich przywódcę, który próbuje zorganizować ucieczkę. Potem daje się zwerbować do siatki szpiegowskiej i jest dosłownie wszędzie - w starych świątyniach, podziemnych grotach i tym podobnych dziwnych miejscach.

- Niesamowite! - oczy Kelly zabłysły z podniecenia.

W tej chwili maszyniści ustawiali na scenie dwie kanapy i czarny stolik z telefonem. Jakiś mężczyzna ze słuchawkami na uszach przesuwiał aparat o kilka centymetrów to w jedną, to w drugą stronę. Inny po prostu chodził z miejsca na miejsce i patrzył na balkony. Dekoracja z tyłu przedstawiała ścianę salonu z namalowanymi półkami pełnymi książek.

- Całkiem prosta dekoracja - zauważył Jupiter. - Co tutaj robią ci wszyscy ludzie?

- Nic nie jest proste! - Bernardi stanął i przyjrzał się scenie. - Nawet gdyby to była jedyna dekoracja w całym spektaklu, potrzebujemy... poczekać, muszę policzyć... przynajmniej szesnastu pełnoetatowych pracowników do jej ustawienia i sprzątnięcia.

- Szesnastu? - pokręciła głową Kelly. - Na jeden salon? Zapraszam ich do domu moich rodziców, kiedy następnym razem będziemy przesuwać meble.

- Związki zawodowe mają bardzo surowe przepisy - zaśmiał się Bernardi. - Każdemu maszynieście wolno robić tylko jedną rzecz, i nic innego. Czyli ten, kto wnosi meble, nie może ustawiać telefonu ani lampy, bo to są inne rekwizyty. Ten, który zapala lampę, nie może uruchomić telefonu i tak dalej, i tak dalej. Jeden człowiek przypisany jest do określonej czynności. Poza tym, na okoliczność wypadku, każdy musi mieć zastępcę. W sumie trzeba zatrudnić szesnaście osób.

Jupiter gwizdnął ze zdziwienia.

- Jak udaje się zgrać pracę tylu ludzi? - spytał.

- Lepiej nie pytaj. Zaraz ci pokażę, co ja robię. Tym razem Bruno nam nie przeszkodzi.

Bernard! drgnął, bo gdzieś w głębi sceny rozległ się okrzyk:

- Rusza obrotówka!

- Poczekać sekundę - wrzasnął i wypchnął Kelly i Jupitera poza widoczne na podłodze wyżłobienie, obiegające okręgiem całą scenę. - Teraz dobrze.

Wewnętrzne koło zaczęło się powoli obracać. Salon zniknął za kulisami, a jego miejsce zajęła nowa dekoracja. Jupitera jednak znacznie bardziej ciekawił pulpit inspicjenta.

- Nie ruszam się stąd przez cały spektakl - oznajmił Bernardi, siadając na wysokim taborecie. - Na głowie mam słuchawki i mikrofon. Kiedy na ekranie pokazuje się odpowiedni kod, daję znać komu trzeba. Nazywamy to sygnalizowaniem. Z akustykami i oświetleniowcami porozumiewam się przez mikrofon. Na przykład: "Trzydziestka piątka rusza" - to o konkretnym reflektorze. Muchom daję znać latarką. Muchy - wyjaśnił, widząc ich zdziwione spojrzenia - to maszynieści, którzy spuszczaają dekoracje z góry, ze sznurowni. Wygląda to tak, że na kilka sekund przed właściwym sygnałem zapalam latarkę. Ludzie wiedzą, że mają być gotowi. Zaczynają robić swoje, kiedy gaszę światło.

- A do komputera można wpisywać wszystkie nowe polecenia i ich kody - ucieszył się Jupiter.

- Można - zgodził się Bernardi - ale ja tego nie robię. Mam do tego człowieka. Wiecie, zwykle inspicjenci pracują z egzemplarzem, na który sami nanoszą wszystkie uwagi. W tym przypadku to niemożliwe, bo spektakl jest zbyt skomplikowany. Stąd pomysł, żeby stworzyć odpowiedni program komputerowy, sterowany stąd. Zrobił go spec od komputerów.

- Ale to nie jest trudne - Jupiter nie pojmował obojętnego stosunku do komputerów. - Przecież i tak musi pan czasem otworzyć okna dialogowe albo zapamiętać nowe opcje makra.

- Chyba mówisz do mnie po chińsku, chłopcze - zaśmiał się Bernardi. - Chcesz, żebym pojął ten skomplikowany komputerowy język? Nigdy. Gdybym sam wprowadził chociaż jedną zmianę, cały spektakl diabli by wzięli. Samochód wjeżdżałby do salonu albo noc zapadała w środku dnia.

- Ale sygnały przekazuje pan ręcznie albo słownie - Jupiter wciąż nie rozumiał. - A kody odczytuje z ekranu. Gdyby na ekranie był błąd, to co wtedy? Czy można zignorować polecenie komputera?

- Jasne, że tak, pod warunkiem, że znasz właściwy kod. Tyle że przed premierą tutaj jest piekło. Już ci się wydaje, że wszystko pamiętasz, kiedy przychodzi scenograf i zmienia ustawienie sceny. Cały czas szarpiesz się, mówisz, machasz, odpowiadasz na setki pytań i siłą rzeczy polegasz tylko na tym, co odczytujesz z ekranu. Jeśli zmiany nie zostały jeszcze wprowadzone, to kłops.

- Pssst! - Pete wymachiwał do nich, próbując zwrócić na siebie uwagę.

Przeprosili Bernardiego i pognali za kulisy.

- Wrzeszczą tak, jakby za chwilę miała się zacząć trzecia wojna światowa - Pete pokazał garderobę George'a. - Śmiało możemy wyjść i coś przegryźć.

Mimo to zostali. Jak zahipnotyzowani wsłuchiwali się w głosy za drzwiami.

- Jak możesz jeszcze chcieć, żeby ci zaufać? - mówił ktoś głośnym, lekko zachrypniętym głosem. - Już raz ci zaufaliśmy, a ty jakby nigdy nic wyjechałeś do Yosemite. I to wtedy, kiedy wycofał się twój dubler!

- Omawialiśmy już raz tę sprawę, panie Firestone - to był głos George'a. - Sam pan mi mówił, że muszę dbać o kondycję.

-W porządku, mówiłem tak, ale żeby od razu uprawiać wspinaczkę? I to wtedy, kiedy nie ma nikogo, kto mógłby przejąć twoją rolę? Czy powiedziałeś komuś, dokąd



się wybierasz? Nie! Przecież mogłeś zwichnąć nogę i to w momencie, kiedy zaczęliśmy sprzedaż biletów.

- Przełożenie premiery o dwa tygodnie sporo nas kosztowało - włączył się trzeci głos. - Widzowie byli wściekli, kasa musiała zwracać pieniądze za bilety, prasa nie zostawiła na nas suchej nitki. Nie mogę sobie pozwolić na większy deficyt. Jeśli wycofam się teraz, to chociaż mniej na tym stracę.

- Spokojnie, Sid. Za daleko zaszedliśmy, żeby odwoływać przedstawienie - próbował łagodzić Firestone. - Zawsze można znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Na przykład zaangażować Matta Granta zamiast mnie? - wybuchnął George. - Jedynego aktora o ilorazie inteligencji równym liczbie lat? Wezwaliście mnie po to, żeby mi to oznajmić, tak? Myślałem, że to tylko plotki.

- Cóż - powiedział Crocker powoli - Matt ściągnie publiczność.

Nastąpiła chwila ciszy.

- To pan daje pieniądze, panie Crocker - odezwał się w końcu George. - Los musicalu zależy wyłącznie od pana. Chcecie mieć na scenie tego nadętego bubka, który mamrocze coś pod nosem - proszę bardzo. Jasne, że ludzie przyjdą go zobaczyć, ale sukces kasowy nie potrwa długo. Po kilku tygodniach wszyscy będą wiedzieć, że bez aparatów słuchowych ani rusz. Ale jeśli chcecie kogoś, kto jest urodzony do tej roli - trzymajcie się mnie. Zresztą, już od jakiegoś czasu mamy nowego dublera.

- Świetnie. Domyślam się, że następny weekend spędzisz latając na lotniach, tak? - ironizował Firestone.

- Wiem, że jest pan na mnie wściekły, ale proszę zrozumieć, że mnie też zależy na tym przedstawieniu. Być może moje nazwisko nie ściąga jeszcze tłumów, ale ludzie przychodzą do teatru, żeby spotkać się z prawdziwą sztuką. Dzięki temu musicalowi zostanę gwiazdą i wszyscy będą mówić, że to pan mnie odkrył.

Jupiter miał ochotę bić brawo, ale się powstrzymał.

- Proponuję, żeby przedyskutować całą rzecz innym razem, kiedy wszyscy trochę ochłoną - zakończył rozmowę Firestone.

Rozległ się dźwięk odsuwanych krzeseł, Jupiter, Pete i Kelly odskoczyli od drzwi.

- I jeszcze jedno - usłyszeli głos George'a. - Skoro naprawdę zależy wam na pieniądzach, pomyślcie o kontrakcie, który ze mną podpisaliście. Jeśli zostanę zwolniony, i tak będziecie musieli wypłacać mi uzgodnioną pensję tak długo, jak długo przedstawienie utrzyma się na afiszu. Gdy dodać do tego honorarium Matta równe

jego dochodom w Hollywood...

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś, Manny - zachrypiął Crocker, ale nie doczekał się odpowiedzi.

George parsknął śmiechem.

- Wygląda na to, że są tylko dwa sposoby oszczędzenia pieniędzy - zostawić mi tę rolę albo mnie zabić.

Ktoś mruknął coś niezrozumiale, zaszurały kroki i drzwi otworzyły się z hukiem.

Kelly i Pete z wielką uwagą czytali sportowy magazyn sprzed kilku miesięcy. Jupiter ze skupioną miną przestawiał rekwizyty na stole pod ścianą. Jego skupienie nie miało jednak nic wspólnego z tymi przedmiotami. Analizował mdlący ucisk, który odczuwał w żołądku. Paskudne uczucie. Uczucie, że George powiedział nieodpowiednią rzecz nieodpowiednim ludziom.

## ROZDZIAŁ 5

### WYŚLANNIK Z ZAŚWIATÓW

- Wygląda na to, że George podsunął pomysł swoim potencjalnym mordercom - oznajmił Jupiter.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zaniepokoił się Pete.

Obaj detektywi omawiali podsłuchaną przed chwilą awanturę, stojąc przed drzwiami pokoju, w którym Lovell Madeira, ekspert sztuki fryzjerskiej, układał George'owi włosy. W środku Kelly z wielkim zainteresowaniem obserwowała pracę mistrza.

- Sam zobacz - ciągnął Jupiter. - George jest pewien, że ktoś czyha na jego życie. Odbiera telefony z pogrozkami, dostaje anonimy. Co chwilę przydarzają się mu dziwne wypadki. Dzisiaj, na naszych oczach, omal nie ucięło mu głowy.

- I?

- I George sam proponuje, żeby go zabić.

- Jupe, przecież on żartował - Pete dalej nie rozumiał.

- Wiem to. Ale akurat ci dwaj faceci najwięcej by zyskali, gdyby mogli pozbyć się George'a i jego kontraktu - najlepiej na zawsze. Dlatego wpisuję ich na listę podejrzanych.

- Zgadza się.

Weszli obaj do pokoju akurat w chwili, gdy fryzjer omawiał horoskop Kelly.

- Typowa Wenus, w uroczy sposób zainteresowana swym wyglądem, zmysłowa, ale w miarę. W zasięgu oddziaływania Marsa, co oznacza siłę charakteru.

Kelly zarumieniła się.

- Przestań denerwować moich przyjaciół tym astrologicznym bełkotem - zakrzyknął George.

Lovell wznosił oczy do nieba i z politowaniem pokręcił głową.

- To nie ma nic wspólnego z astrologią per se\* [Per se (łac.) - samo przez się, samo w sobie, w czystej postaci]. Planety wpływają na charakter każdego z nas...

- Już rozumiem - George uśmiechnął się złośliwie - skąd to wiesz. Przecież ty zawsze kręcisz się po naszej orbicie.

- Nie prowokuj mnie - Lovell żartobliwie pogroził mu nożyczkami.

Potem oczyścił jego kark z włosów i zdjął ochronną pelerynkę.

- Gotowe. Najszybsze strzyżenie na świecie.

- Idziemy - George zeskoczył z fotela. - Musimy jeszcze coś zjeść. Mamy całe półtorej godziny. O siódmej trzydzieści zaczynam charakteryzację.

- Świetnie - przyłączyli się do niego.

- Chcesz powiedzieć, że nie wybierasz się z nami na otwarcie kanałów? - zapytał Lovell.

- Na coo? - George nie wierzył własnym uszom.

- Nie pamiętasz? Zaprosiłem do siebie kilku aktorów. Krótkie spotkanie, potrwa nie dłużej niż pół godziny. Chodzi o otwarcie kanałów energetycznych, kontakt z poprzednimi wcieleniami...

- Dzięki, Lovell - skrzywił się George. - Osobiście wolę kontakt z hamburgerem albo czymś w tym stylu.

Lovell uśmiechnął się z politowaniem, kiedy od niego wychodzili.

Po drodze wstąpili do garderoby George'a. Jupiter był tam pierwszy raz. Ściany wydały mu się jedną wielką reklamą genialnego artysty George'a Brandona. Każdy centymetr ich powierzchni wypełniony był wycinkami prasowymi, listami od wielbicieli i czarno-białymi fotosami. Uśmiechnięta twarz George'a spoglądała na nich zewsząd.

- No, no - gwizdnął Pete. - Nieźle. Wygląda na to, że jesteś sławną osobistością.

- Prawdę powiedziawszy, tylko w środowisku teatralnym. - George zdarł z siebie obsypany włosami podkoszulek i sięgnął do szafy po świeży. - I tylko dlatego, że Ruth Leslie, najlepsza specjalistka w branży, jest moją agentką.

- Słuchaj - Jupiter postanowił przejść do spraw poważnych. - Nic na to nie poradzę, ale słyszeliśmy fragmenty twojej dzisiejszej rozmowy z producentami.

George założył czarne okulary słoneczne.

- Czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym w barze na rogu? Dają tam świetne hamburgery - przerwał Jupiterowi. - Mdli mnie na widok tego miejsca.

Na schodach zadudniły kroki. Grupa aktorów, z wypchanymi torbami przerzuconymi przez ramię, w pośpiechu zbiegała na dół. Mijając otwarte drzwi, pomachali na pożegnanie George'owi i jego przyjacielom. Jeden z aktorów zatrzymał się i wsadził głowę do środka. Jupiter rozpoznał w nim młodego człowieka, którego spotkali już wcześniej w restauracji "U Buda". Pamiętał, że przedstawiono go jako nowego dublera George'a.

- Nie idziesz do Lovella, George? - zapytał chłopak.

W jego ciemnych oczach błyskały iskierki rozbawienia. George popatrzył na

niego ze smutkiem.

- Et tu\* [Et tu... (łac.) – i ty ... Jest to początek zdania: Et tu, Brutus contra me? (I ty Brutusie, przeciwko mnie?), które wygłosił Cezar przed śmiercią.], Vic Hammil? - zarecytował z patosem. - Nie chcesz powiedzieć, że Lovell złapał cię na te bzdury!

- Jasne, że nie! - zaśmiał się Vic. - To jeszcze lepsza zabawa niż oglądanie ciebie w "Małych Urwisach". Lovell dostanie to, co chce. Wszyscy mamy zamiar udawać, że słyszymy głosy. Będzie świetnie. Spodoba ci się.

- Nie na tyle, żeby zagłodzić się na śmierć - odpowiedział George.

- Jeśli o to chodzi, możesz przestać się martwić - Vic odsunął suwak skórzanego worka i wyjął białą, papierową torbę pokaźnych rozmiarów. - Jestem w stanie nakarmić wszystkie głodomory. Zrobiłem spore zakupy w "Le Corpulence", tej nowej francuskiej piekarni.

Wspaniały zapach ciepłego ciasta rozszedł się wokoło. Zajrzeli do torby. Jupiter poczuł, że ślinka napływa mu do ust na widok świeżutkich, błyszczących bułeczek posypanych cukrem i cynamonem.

- No chodź, George! Rozluźnisz się przed spektaklem - nie ustępował Vic.

- I co wy na to? - zwrócił się George do swoich gości.

- Jeśli chodzi o mnie, mogę iść - powiedział Pete.

- Ja też - dodała Kelly.

Jupiter był w rozterce. Słodkie bułki absolutnie nie mieściły się w jego diecie. Z drugiej strony, powinien pójść, bo na spotkaniu u Lovella może dowiedzieć się czegoś istotnego dla sprawy. Poza tym, nie musi przecież jeść tych bułek! Wystarczy, że... że będzie wdychać ich zapach.

- Idę z wami - postanowił.

- No więc ruszamy na spotkanie z duchami - obwieścił George.

Jupiter zaparkował przed niewielkim, dwupiętrowym budynkiem. George i Vic, pogryzając bułeczki, wchodzili właśnie do środka.

- Świetnie. Uparli się, żeby jechać samochodem George'a i sami wszystko zjedli! - mruknął pod nosem, błyskawicznie zaciągnął ręczny hamulec i, nie oglądając się na Pete'a ani Kelly, wyskoczył z samochodu.

Lovell Madeira stał w drzwiach, ale nieobecne spojrzenie zdradzało, że duchem jest daleko.

- Zdejmijcie buty. Właśnie wywoskowałem podłogę - usłyszeli na powitanie.

Podporządkowali się bez szemrania i boso pomaszerowali długim, wąskim korytarzem. Na jego końcu znajdował się niewielki pokój bez okien, cały obwieszony dziwnymi wykresami przedstawiającymi planety, gwiazdy i jakieś symbole, które nawet Jupiterowi nic nie mówiły. Pod ścianą stało odwrócone tyłem pianino, a obok - stolik z marmurowym popiersiem Szekspira. Pokój oświetlony był słabym światłem jedynej lampy z ciemnym kloszem, którą ustawiono na prawo od wejścia.

Na starym dywanie w perskie wzory siedzieli już inni uczestnicy spotkania. Wszyscy trzymali się za ręce. Lovell usiadł w kręgu, plecami do drzwi, i zaprosił chłopców i Kelly, żeby zajęli miejsca tuż obok niego.

Potem zaczął mówić cichym, jednostajnym głosem:

- Zamknijcie teraz oczy. Każdy z was ma stać się naczyniem dla sił, które nas otaczają.

Jupiter za nic nie mógł zrozumieć, co miało znaczyć drugie zdanie, więc po prostu zamknął oczy i czekał.

- Usłyszałem głosy - ciągnął Lovell. - Powiedziały, że drzwi otworzą się dziś dla kogoś z was. Drzwi, które przez wieki były ukryte, a które prowadzą do przeszłego życia. Kiedy zapytałem, komu przypadnie to w udziale, głosy milczały.

Ktoś kichnął. Wydawało się, że dźwięk - dziwnie nieodpowiedni w takiej chwili, zawisł gdzieś w powietrzu.

- Ból... - Lovell mówił teraz głębokim szeptem - ale potem ogromna lekkość bytu.

To znaczy, że jeśli będę głodować teraz, pomyślał Jupiter, kiedyś stanę się chudy. Poczul, że ludzie obok niego kołyszą się delikatnie. Niektórzy zaczęli mruzczyć monotonną melodię.

- Zawiasy... drgnęły... i drzwi... powoli... otwierają się... - ciągnął Lovell.

Pete wyobraził sobie, że otwiera drzwi swojej toyoty. Ciekawe, kiedy przyślą nowy wał korbowy?

- Już - obwieścił Lovell. - Czy czujecie nową aurę, która pojawiła się tu jak nagły poryw wiatru?

Ktoś zachichotał, ale natychmiast zastał uciszony donośnym "Sza".

Jupiter nie rozpoznał głosu, ale wiedział, że to nie Lovell. Grupa powoli wpadała w trans.

- A teraz poddajcie się własnemu wewnętrznemu rytmowi. A kiedy rytmy wszystkich nałożą się na siebie, nastąpi kumulacja energii tak wielka, że nasz gość

objawi się w tym pomieszczeniu.

Jupiter też zaczął kiwać się z innymi. Spokojnie, pomyślał. To tylko siła sugestii i nic więcej. Nic więcej!

- Nareszcie - szeptał Lovell przejętym głosem. - Czuję, że on tu jest. Jeden z was też to czuje... O tak... Na pewno.

W tej samej chwili zapadła ciemność, atramentowe czarna ciemność. Zupełnie inna od tej, którą mamy pod zamkniętymi powiekami. Lampa na stole zgasła.

- Auuu! - ciszę rozdarł czyjś krzyk.

Potem był głuchy hałas spadającego ciężkiego przedmiotu.

- Zapalcie światło - Jupiter skoczył na równe nogi i błyskawicznie otworzył oczy.

Słysząc było wpadających na siebie w ciemności ludzi, potem odgłos obmacywania ściany w poszukiwaniu kontaktu.

Zabłysła lampa pod sufitem.

Kelly jęknęła i wpiła paznokcie w plecy Pete'a.

- Co ro... - Pete nie skończył.

Zobaczył George'a - nieruchomego, z czerwoną szramą na czole. Tuż obok jego głowy leżało popiersie Szekspira.

## ROZDZIAŁ 6

### KURTYNA, KURTYNA!

- Nie, nie... Wszystko w porządku - upierał się George. - Naprawdę nic mi nie jest.

Odepchnął rękę Lovella, który próbował przykładać mu do czoła zimny kompres. Marmurowe popiersie nie przecięło skóry, ale czoło wyglądało paskudnie.

- Zadzwoń po pogotowie - zaproponował Pete i ruszył do telefonu.

- Nie! - zaprotestował George z taką siłą, że Pete stanął jak wryty.

- Nie mogę zaważyć dzisiejszego spektaklu - ciągnął George. - Nie po tym, czego się dzisiaj dowiedziałem.

Jupiter przypomniał sobie popołudniową awanturę w garderobie. To zrozumiałe, że George się bał. Firestone mógł odebrać mu rolę. Jupe zmienił temat, zanim ktokolwiek zdążył zapytać, co George ma na myśli.

- Jak to się stało? Oparłeś się o stół? - zapytał.

- Nie. - George rozcierał ręką obolałe czoło. - Po prostu siedziałem sobie z zamkniętymi oczami i nagle bum!

- Ciężki kawał marmuru - sapnęła Kelly, stawiając popiersie na swoim miejscu.

- Moja mama zawsze mówiła, że mam twardą głowę - George próbował obrócić wszystko w żart.

- Jeśli rzeźba stała na brzegu - powiedział jeden z aktorów - to może wibracje...

- Nie - Jupiter właśnie oglądał stolik. - Popiersie nie mogło tak po prostu się ześliznąć, bo dookoła blatu jest wystająca krawędź.

- Chyba nie powinniśmy wpuszczać tutaj naszego ducha - powiedział Vic.

Tu i ówdzie rozległ się słaby śmiech. Jednak Lovell Madeira spojrzał karcąco na wesołków. Potem, z tajemniczym wyrazem twarzy, wbił wzrok w George'a.

- Dobrze wiesz, dlaczego to się stało - powiedział tonem pełnym ukrytych znaczeń.

George spojrzał na niego niepewnie. Wydawał się niemal przestraszony. Potem zaśmiał się nerwowo i odwrócił plecami do Lovella.

- O czym ty mówisz, Lovell? - zapytał ktoś.

Właśnie. O czym? - zastanawiał się Jupiter. Muszę zapytać George'a, kiedy będziemy sami.

- Przenieśmy to na inny dzień - Lovell spojrzał na zegarek. - Musimy



wychodzić, jeśli chcecie jeszcze coś zjeść przed przedstawieniem.

- Dobry pomysł - George stanął o własnych siłach i odrzucając wszystkie oferty pomocy powoli podszedł do drzwi.

Inni zrobili to samo, ale Jupiter, Pete i Kelly ociągali się z wyjściem.

- Możemy rozejrzeć się trochę? - spytał Jupiter.

- Nie. - Lovell gotowy do wyjścia stał przy drzwiach, z ręką na kontakcie. - Pokój musi być teraz pusty. To bardzo ważne. Duch o niezwyklej mocy był tu przed chwilą i potrzeba czasu, żeby oczyściła się aura tego pomieszczenia.

- Ale my chcieliśmy tylko...

Zanim Jupiter zdążył skończyć zdanie, Lovell zgasił światło. Jak niepyszni wyszli za nim na korytarz. Nie mogli zostać bez wzbudzania podejrzeń.

Zdenerwowany Jupiter przygryzł zęby. Musieli wstrzymać śledztwo, zanim na dobre je rozpoczęli.

Jupiterowi burczało w brzuchu z głodu. Było wpół do ósmej i znowu wchodzili do teatru.

- Słyszałem! - Pete popatrzył na niego znacząco. - Masz za swoje. Należy ci się za wstyd, jakiego się przez ciebie najedliśmy w "Burger Bistro"!

- A co innego mogłem zrobić? - bronił się Jupiter. - Moja dieta nie przewiduje czerwonego mięsa.

- No to mogłeś poprosić o sałatę i pomidora, zamiast się tak wymądrzać. "Talerz firmowy, raz. Ale bez majonezu, bez piki i, bez frytek, bez bułki, bez mięsa, bez..." - przedrzeźniał Jupitera Pete.

- Wydawało mi się, że mówię do nich ich językiem - rozłożył ręce Jupiter.

- Dajcie już spokój - roześmiał się George. - Chodźcie do mnie. W garderobie mam zaproszenia.

Przystanął na moment, żeby zrobić znaczek przy swoim nazwisku na liście obecności wiszącej na ścianie.

- Najpóźniej pół godziny przed rozpoczęciem spektaklu musimy być w teatrze. Jeśli do tego czasu nie odhaczysz się na liście, Jim Bernardi zawiadamia dublera.

Kelly wpatrywała się w zupełnie nowe ogłoszenie, które tymczasem zawisło na tablicy.

- Nic nam o tym nie mówiłeś, George - pokazała palcem informację.

Natychmiast rozesłać do pism teatralnych:

POSZUKIWANI AKTORZY (KOBIETA I MEZCZYZNA)  
DO RÓL DRUGOPLANOWYCH W MUSICALU  
"NIEBEZPIECZNA STREFA".  
PRZEGLĄD KANDYDATÓW:  
CZWARTEK, CODZ. 11.00  
TEATR GARBERA, GŁÓWNA SCENA

- A co? Jesteś zainteresowana? - zdziwił się George.

Kelly obląła się ciemnym rumieńcem.

- No... Właściwie tak! To znaczy, wiesz, kiedyś chodziłam na lekcje tańca i...

- Dziś wtorek, więc masz całe dwa dni na przygotowanie - mrugnął do niej George. Pomachał po drodze do Luthera, który siedział w swoim pokoju, i ruszył do garderoby.

- Trzy najlepsze miejsca w całym teatrze - powiedział wręczając Jupiterowi kopertę. - W środku piątego rzędu!

Potem okręcił się nagle dookoła własnej osi i z zadowoloną miną oznajmił:

- Nie mogę w to uwierzyć, ale robię się spięty, kiedy pomyślę, że będziecie na mnie patrzeć z widowni.

- Nie martw się. Zamkniemy oczy, ile razy wejdiesz na scenę - zażartował Pete.

- Już was tu nie ma. Muszę się przygotować - George udawał, że wypycha ich z garderoby.

Wyszli na zewnątrz i udali się do głównego wejścia.

- Ale on ma temperament! - powiedziała Kelly. - Chyba naprawdę jest stworzony do tej roli. I pomyślcie, że przed chwilą nieźle oberwał po głowie.

Nawet Pete przytaknął energicznie.

- Wiecie, zawsze myślałem, że teatr nic mnie nie obchodzi. Ale jak się raz wejdzie za kulisy, to człowiek czuje się taki... naładowany. Od razu ci się wydaje, że zrobisz wszystko, co chcesz.

Jupiter nie odezwał się słowem. Nic nie mógł na to poradzić, trochę jednak zazdrościł George'owi. Pete miał rację - w teatrze człowiekowi ładują się akumulatory.

Nie powiedział tego głośno, ale po raz pierwszy w życiu zaczynał żałować, że porzucił show business.

Kiedy po skończonym przedstawieniu zapaliły się światła, na widowni panowała kompletna cisza. Finałowy numer George'a był fantastyczny. Wydawało się, że jego głos wciąż jeszcze brzmi na sali.

Rozległy się nieśmiało pojedyncze oklaski. Potem zerwał się huragan braw. W jednej chwili cała widownia zerwała się z miejsc i zaczęła owację na stojąco.

- On jest niesamowity! - Pete z trudem znajdował słowa, żeby wyrazić swój zachwyt. W końcu wsadził do ust dwa palce i zaczął gwizdać najgłośniejszym, jak umiał.

Rozbłysły światła na scenie. Artyści wybiegali do ukłonów - najpierw zespół, później soliści. George, jako gwiazda przedstawienia, pokazywał się na końcu. Cała widownia wydała z siebie ogłuszający ryk, kiedy podszedł do krawędzi sceny. On uśmiechnął się i pochylił w głębokim ukłonie. Siniak na czole był niewidoczny pod warstwą teatralnej szminki.

Kiedy wyprostował się, odszukał wzrokiem Jupitera, Pete'a i Kelly i mrugnął do nich porozumiewawczo. Potem odwrócił się i podał ręce kolegom.

- Łuuu! - zawył Pete, gdy nagle rozległ się huk wybuchającego reflektora.

Przez widownię przebiegł pomruk niepokoju. Jupiter spojrzał na scenę i oniemiał z przerażenia. Z miejsca, w którym przedtem stał George, unosił się w górę obłok szarego dymu!

## ROZDZIAŁ 7

### ZEMSTA WIESZCZA

Cała trójka ruszyła natychmiast w kierunku bocznego przejścia. Nie było to łatwe, bo zdeorientowani ludzie także zaczęli wstawać z miejsc.

- Przejście! Proszę zrobić przejście - krzyczał Pete, torując sobie drogę przez tłum gromadzący się pod sceną. Jupiter i Kelly szli tuż za nim.

Gdy dotarli do schodków prowadzących za kulisy, dym rozwiął się trochę. George leżał bez ruchu, otoczony wianuszkami zaniepokojonych kolegów.

Musieli użyć łokci, żeby znaleźć się przy nim. Jedna z aktorek trzymała jego głowę na kolanach. Z tej odległości bladoczerwony ślad na czole George'a widoczny był pod warstwą teatralnej szminki.

- On nie ma czym oddychać. Odsuńcie się wszyscy - nakazał Jupiter, klękając obok George'a.

- Co z nim? - Jupiter przybliżył twarz do ust George'a, żeby sprawdzić, czy oddycha, i niespodziewanie usłyszał stłumiony szept:

- Ucałuj moje czoło.

Odskoczył jak oparzony.

- Trzeba mnie znieść za scenę. Gdzie jest orkiestra?

- George! To ja, Jupiter Jones. Dobrze się czujesz?

George zamrugał oczami.

- Ju...Jupiter? - zdziwił się. - Chyba zemdlałem. Myślałem, że gram scenę śmierci z "West Side Story".

Niektórzy z członków zespołu odetchnęli z ulgą. Ale ogłupiały wyraz twarzy George'a świadczył, że tym razem chłopak nie żartuje.

Jim Bernardi i wysoki, muskularny tancerz pomogli mu wstać.

- Dam sobie radę sam - protestował, kiedy poprowadzili go za kulisy.

Publiczność pożegnała go brawami.

Kiedy tłum się przerzedził, Jupiter zlustrował scenę i zerknął w dół. W kanale orkiestrowym kręciło się kilku elektryków, którzy dokładnie sprawdzali metalową linę przymocowaną do niewielkiego urządzenia na brzegu sceny. Buzz Newman z kilkoma muzykami przyglądał się temu z boku.

- Co się stało? - Jupiter pochylił się do Buzza.

- Sam chciałbym to wiedzieć. O mało nie ucięło mi głowy.

- Spięcie na kablu miotacza dymu - powiedział jeden z elektryków, który widząc minę Jupitera szybko dodał:

- Tak nazywamy tamten mały pojemnik. Znajduje się w nim słaby materiał wybuchowy, który pod wpływem sygnału elektrycznego wytwarza dym.

Elektryk popatrzył na okopcony pojemnik i pokręcił głową:

- Dziwne. Musiał nastąpić nagły wzrost napięcia, który spowodował fałszywy sygnał.

- Czy coś takiego zdarza się często? - zapytał Jupiter.

- Widzę to pierwszy raz w życiu, ale to możliwe.

Możliwe, choć mało prawdopodobne, pomyślał Jupiter.

Zostali jeszcze z Pete'em przez chwilę na scenie, a potem poszli sprawdzić, co dzieje się z George'em. W garderobie była Kelly i jeszcze kilka osób. Robili herbatę, omawiając to, co zaszło. George siedział przed lustrem i rozmawiał przez telefon.

- Miotacz dymu - mówił. - Nie, nie wiem, jak to się stało. Właśnie wychodziłem do ukłonów... Nie masz zamiaru nawet spytać, czy nic mi nie jest?... Dziękuję, Ruthie, nic mi nie jest. To cześć. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i osunął się głębiej w fotel.

- Się masz, Jupe - powiedział, a potem zwrócił się do reszty:

- Słuchajcie, chłopcy, wielkie dzięki za waszą pomoc, ale, ale... sami rozumiecie, mam gości i...

Aktorzy ze zrozumieniem pokiwali głowami i wyszli z pokoju. George zadrżał lekko. Popatrzył przed siebie szeroko otwartymi oczami i przez chwilę wydawało się, że jest gdzieś daleko.

- Trzy wypadki podczas jednego wieczoru - dotknął ręką czoła. - Zastanawiam się, ile jeszcze jestem w stanie znieść, zanim... - nie dokończył zdania.

- Musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz o innych członkach zespołu - Jupiter przysunął się do George'a.

Nagle zorientował się, że tamten wcale go nie słucha. George patrzył ponad jego ramieniem na coś w drugim końcu pokoju. Odwrócił się i zobaczył, że w drzwiach stoi Lovell Madeira.

- Chwała Bogu, że nic ci się nie stało - westchnął z ulgą Lovell.

- Jak myślisz, Lov? - George uśmiechnął się półgębkiem. - Czy to znaczy, że stary William mi odpuścił? A może naprawdę powinienem przestać mówić "Makbet"?

Madeira zeszywniał.

- Widzę, że dalej niczego się nie nauczyłeś - powiedział.  
- Muszę wam wyjaśnić - George odwrócił się do swoich gości - że w teatrze nie wolno wypowiadać słowa "Makbet". Jeśli powiesz "Makbet", spada na ciebie klątwa.  
- Przestań, George! - Lovell miał coraz bardziej ponurą minę.  
- Nie rozumiem - pokręcił głową Pete.  
- To najstarszy teatralny przesąd - wyjaśnił Lovell. - Nigdy nie wolno wypowiadać, z wyjątkiem sceny oczywiście, tytułu tej szkockiej sztuki Szekspira. Jeśli ktoś to zrobi, przydarzy mu się coś strasznego.

- Ta sztuka, to oczywiście "Makbet" - George postanowił postawić na swoim.  
Lovell zmrużył oczy.

- Znałem takich, co umarli, bo wyśmiewali się z tego zwyczaju. Nie wydaje mi się, żebyś akurat ty miał być wyjątkiem! Naprawdę myślisz, że to wszystko stało się przypadkiem? - i wychodząc, rzucił przez ramię: - Posłuchaj dobrej rady przyjaciela. Buntuj się, jeśli masz ochotę, ale pamiętaj: duch Szekspira nie wybacza.

I Lovell z wysoko podniesioną głową wymaszerował z garderoby. Pete popatrzył znacząco na Jupitera. George udawał, że dmie w trąbę.

- Ale zgrywa - powiedział. - Uwielbiam, jak plecie o tych wszystkich teatralnych bzdurach.

Jupiter zamyślił się głęboko. Zapadła cisza. Przerwał ją po chwili Pete:

- A może Lovell nie jest taki daleki od prawdy? Trudno powiedzieć, żeby wszystko szło po twojej myśli. George wzniosł oczy do góry.

- I ty też uwierzyłeś w te brednie!?! - A ponieważ nie doczekał się żadnej reakcji z ich strony, dodał szybko: - Wy tu rządźcie. Postaram się nie drażnić więcej Lovella.

- No, dobra - Jupiter uznał, że nadszedł czas, by zmienić temat. - Powiedz nam teraz, kto jest tutaj kim?

Jupiter słuchał informacji George'a bardzo uważnie, ale kiedy godzinę później wychodzili z teatru, czuł, że nie posunęli się nawet o krok w rozwiązaniu sprawy.

Postanowili całą trójką pojechać za George'em aż pod jego dom, żeby upewnić się, że dotrze tam bezpiecznie. Potem odwieźli Kelly, która usnęła po drodze.

Dopiero wtedy mogli udać się do Kwatery Głównej Trzech Detektywów, mieszczącej się na przedmieściach Rocky Beach, w składzie złomu, który ciotka Matylda i wuj Tytus założyli przed wieloma laty. Było to najbardziej niezwykle składowisko rupieci w całej okolicy, pełne najdziwniejszych - użytecznych i całkowicie

bezużytecznych, przedmiotów. Można było znaleźć tam wszystko - od lekko uszkodzonych testerów po książkowe białe kruki.

Jupiter i Pete zaczęli omawiać sprawę natychmiast po przekroczeniu wielkiej bramy z kutego metalu, którą wuj Tytus wypatrzył w jakiejś rozpadającej się rezydencji (i ocalił oczywiście).

- Według mnie to Bernardi - oznajmił Pete. - On wydaje polecenia całej obsłudze. Jemu najłatwiej jest uruchomić miotacz dymu.

- To prawda - zgodził się Jupiter - ale Bernardi nie był na spotkaniu u Lovella Madeiry. Nie mógł wykręcić bezpieczników ani zwalić na George'a popiersia Szekspira. Nie mówiąc już o tablicy przed teatrem...

Zatrzymali ciężarówkę tuż przy Kwaterze Głównej, czyli starej przyczepie kempingowej, do której Jupiter własnoręcznie dobudował dodatkowe pomieszczenie. Z daleka wyglądało to jak zrujnowana i opuszczona szopa. Dopiero gdy obserwator zauważył antenę satelitarną na dachu, nabierał podejrzeń, że we wnętrzu kryje się coś jeszcze. I rzeczywiście - znajdowało się tam studio wyposażone w niezbędny detektywom sprzęt elektroniczny. Było tam wszystko - kamery, system telewizji kablowej, magnetofony uruchamiane głosem i różnego rodzaju urządzenia na podczerwień.

- Poza tym - ciągnął Jupiter, gramoląc się z samochodu - zapomniałeś o motywie. Co Bernardi ma przeciw George'owi?

- Faktycznie. Chyba zawiodła mnie intuicja. A co powiesz o tym drugim, wiesz - o Brunonie?

- Taaa. Był na zewnątrz, kiedy zerwała się tablica. Pracuje za sceną... Ale George mówił, że nie robi nic ważnego. Po prostu przesuwają dekoracje. Nie ma kontaktu z żadnymi urządzeniami elektrycznymi. - Jupiter padł na kanapę i włączył telewizor na ostatnie wiadomości. - Z drugiej strony, Bruno może być za coś wściekły na George'a. Nieważne, za co. To taki typ, który wścieka się na cały świat.

- Przypominam ci, że miotacz dymu umieszczony jest w kanale orkiestry - Pete usiadł na drugim końcu kanapy. - Wcale nie trzeba elektryka, żeby go uruchomić. Mógł to zrobić któryś z muzyków.

- Na przykład Buzz Newman...

- Właśnie - pokiwał głową Pete. - A Lovell? Nad nim też trzeba popracować. Nigdy nie wiadomo, co taki świr może wymyślić. Nie mówiąc już o Vicu Hammilu. Po pierwsze - był u Lovella, po drugie - pomyśl tylko, co zyskałby Vic, gdyby George'owi

coś się stało. Od razu przejąłby jego rolę. Z dnia na dzień byłby gwiazdą.

- Nie, Manny Firestone natychmiast zaangażowałby Matta Granta. Vic nic by na tym nie zyskał - zaprotestował Jupiter. - Ale Firestone na pewno jest jednym z podejrzanych.

Pete nie odpowiedział.

- Popatrz - krzyknął, wpatrując się w telewizor. Na ekranie pojawił się fronton teatru Garbera, a potem Jewel Coleman rozmawiająca z George'em. Samego wywiadu nie było słyhać, gdyż zagłuszył go głos komentatora:

- ...I na koniec wieczornego serwisu informacyjnego - kolejna wiadomość o dziwnych wypadkach związanych z musicalem "Niebezpieczna strefa". Dziś wieczorem George Brandon, gwiazda przedstawienia, o mało nie uległ poważnemu wypadkowi, kiedy wielka tablica zerwała się ze stojącego przed teatrem dźwigu i upadła tuż obok jego głowy.

Kamera pokazała przerażonego Brunona, który krzyczy coś do George'a, potem - w zwolnionym tempie - spadający napis i uciekających w popłochu ludzi.

Pete aż się wzdrygnął, patrząc na tablicę z hukiem uderzającą o chodnik. W kolejnym ujęciu widać było, jak George próbuje wyjąkać coś do mikrofonu, który trzyma przed nim Jewel. Jego przerażona twarz zajmowała cały ekran.

Potem komentator opowiedział o wybuchu pod koniec przedstawienia i o wypadku na seansie u Lovella.

- Skąd ci ludzie z telewizji wiedzą takie rzeczy? - zastanawiał się głośno Pete.

- Czy to tylko przypadek, czy też coś... bardziej niezwykłego? - ciągnął głos w telewizorze. - Jeden z naszych reporterów spotkał osobę przekonaną, że w całą sprawę wmieszały się siły nadprzyrodzone.

Na ekranie pojawił się Lovell. Stał przed teatrem i nerwowo wpatrując się w kamerę opowiadał o kłątwie Makbeta i o tym, że George nie wierzy w przesady.

Kiedy Lovell skończył, kamera pokazała przejętą twarz dziennikarza:

- Wszyscy ludzie teatru wiedzą, że za kulisami nigdy, absolutnie nigdy, nie wolno wymawiać tytułu tak zwanej szkockiej sztuki. Czy to przesąd i zwykłe głupstwo? Nawet ci, którzy tak myślą, nie używają tego słowa w teatrze. Okazuje się, że trzysta pięćdziesiąt lat po śmierci wieszczki z Avonu, klątwa wciąż działa. George Brandon doświadczył na własnej skórze, co może się zdarzyć, gdy łamiemy odwieczny zakaz.

- Kto to jest wieszcz z Avonu? - zapytał osłupiały Pete.

- Tak nazywają Szekspira.



- No to masz odpowiedź, Jupe - powiedział Pete z kamienną miną.

- Cooo?

- To nie Buzz ani Lovell, ani nikt, kto ma coś przeciw George'owi. To duch Szekspira. I spróbuj w to nie uwierzyć!

## ROZDZIAŁ 8

### Z DAŁA OD ZGIEŁKU

Kiedy następnego dnia Bob usłyszał o tym, co się wydarzyło, otworzył oczy ze zdumienia.

- A niech to! Żałuję teraz, że z wami nie poszedłem. Zwłaszcza że ta wczorajsza kapela - po prostu groza!

Jupiter usiadł przy komputerze. Czuł, że natychmiast musi zabrać się do pracy.

- Wiem, że w tym tygodniu jesteś bardzo zajęty - rzucił Bobowi przez ramię - ale miej uszy otwarte na wszystko, co dotyczy Garbera.

- Może uda mi się wyciągnąć coś od Buzza. Powinien tu być lada moment.

- Co? - Jupiter odwrócił się razem z krzesłem. - Tutaj?

- No, tak. Zaprosiłem go - usprawiedliwił się Bob - bo on ma fioła na punkcie dobrego sprzętu nagłaśniającego. Kiedy powiedziałem mu, że mamy tu kwadrofonię, omal nie oszalał. Przyniesie swoje taśmy.

- Powiedziałeś mu, czym się zajmujemy?

- Nie. Tylko o sprzęcie. I o tym miejscu. A co, nie powinienem?

- Nie, w porządku. Tylko trzymaj język za zębami. Nie może dowiedzieć się, że jesteśmy detektywami. I ani słowa o agencji. Jeszcze nie skreśliliśmy nikogo z listy podejrzanych. Buzz też na niej jest - Jupiter wrócił do pracy.

W ich klimatyzowanej przyczepie znajdowały się trzy komputery - dla wygody. Jupiter siedział przed ekranem swojego i przeglądał wejścia w informacyjnym programie zawierającym hasła wszystkich dostępnych encyklopedii.

- Jest tu ktoś? - usłyszeli nagle głos Buzza. - Czy mogę wejść, jeśli nie znam tajemnego hasła?

- Włącz - zawołał Bob, rzucając ukradkowe spojrzenie na Jupitera.

Buzz wszedł i rozejrzał się dookoła z wyraźnym zainteresowaniem. Miał na ramieniu sporą brezentową torbę.

- No, no - uśmiechnął się od ucha do ucha. - Niezły spręcik tu macie. Czy przyjmujecie do waszego klubu nowych członków?

- Pogadamy o tym, jak zobaczę twoje taśmy - zaśmiał się Bob i sam wyjął z torby Buzza całe naręczce kaset. - O rany! Co to jest?. "West Side Story", "Pocałuj mnie, Kasiu" - same musicale! Co ty, wzięłaś przez pomyłkę nagrania swojego taty?

- Nie. Słucham tego od jakiegoś czasu i coraz bardziej to lubię.

- A ja myślałem, że jesteś prawdziwym rockmanem - potrząsnął głową Bob. - Ta muzyka jest taka, taka... płytka w porównaniu z rockiem.

- Właściwie cię rozumiem. Zresztą sam do niedawna myślałem podobnie. Zmieniłem zdanie pod wpływem George'a. Ten facet zna wszystkie piosenki ze wszystkich musicali, jakie pojawiły się w teatrze! Pewnie, że większość z nich to chłam, ale jest parę... naprawdę super. Nie uwierzyłbyś, bracie, jaki mają czad.

Bob popatrzył na Buzza z wyrzutem.

- Wydawało mi się, że grasz w "Niebezpiecznej strefie" tylko dla pieniędzy. A wygląda na to, że zdradzasz prawdziwą muzykę!

- Bob, zejdź ze mnie, dobra? Człowiek musi czasami zarobić trochę forsy, nie? Sam wiesz, że dla każdego grajka najlepiej jest złapać robotę w kasowym przedstawieniu. Poza tym, chcę spróbować czegoś innego!

- Rób, co chcesz - Bob ciężko westchnął i zapadł się w fotelu.

- Ale pamiętaj, z tego, co słyszałem, wcale nie wynika, żeby ludziom w branży rozrywkowej wiodło się o wiele lepiej. Zresztą - powiedzmy sobie jasno, że największe pieniądze robi się na rocku.

- Taa. Tylko że robi je zaledwie paru tych, którzy są na topie. - Buzz podszedł do magnetofonu z kasetą z napisem Sweeney Todd. - Sam posłuchaj tego. Świetna muzyka!

Niesamowita, rytmiczna melodia rozległa się ze wszystkich stron. Bardzo podobała się Jupiterowi - stwarzała odpowiedni nastrój do jego poszukiwań związanych z teatralną klątwą Makbeta. Szybko wystukiwał na klawiaturze kolejne hasła: Teatr... Przesady... Klątwy.... Przejrzał wszystkie podane informacje, ale nie znalazł nic, co mogłoby się im przydać. Makbet - napisał w końcu.

Na ekranie pojawiło się streszczenie sztuki. Rycerz o imieniu Makbet popełnia morderstwo, żeby zostać królem. Trzy czarownice ostrzegają go, że umrze, kiedy las ruszy i podejdzie pod jego zamek. I tak się dzieje, ale "las" to naprawdę żołnierze, którzy dla zmylenia przeciwnika trzymają nad głowami ucięte gałęzie. Makbet ginie, zabity w walce.

Potem następowały źródłowe wiadomości historyczne, których Jupiter już nie czytał, oraz lista czterech filmów zrealizowanych w oparciu o sztukę.

Nagle Jupiter przerwał. Las, który się porusza... Kiedyś już to słyszał!

Odezwał się dzwonek telefonu. Poderwał się z krzesła, ale Bob był szybszy.

Oczywiście, że tak! Telefon! Co było w listach i telefonach do George'a? Szybko

otworzył segregator i wyciągnął notes. Bez trudu znalazł potrzebne notatki:

*telefon - starczy głos o silnym brytyjskim akcencie mówi: "strzeż się, potomku Tespisa"*

*listy z groźbą, że umrze na tronie we krwi*

*list - coś o lesie, który przyjdzie, żeby wciągnąć go w ciemność*

Jupiter wyprostował się z zadowoleniem. Wszystkie pogrożki wiązały się z "Makbetem". A więc miały przypominać o klątwie Makbeta, klątwie, z której George stale się naśmiewał!

Czyżby telefony i listy były dziełem Lovella Madeiry? Czy naprawdę Lovell zadałby sobie tyle trudu, żeby udowodnić wszystkim, że klątwa jest prawdą, a nie głupim przesądem? A jeśli tak, to czy on był odpowiedzialny za dalsze - niebezpieczne już, próby zastraszenia George'a? Co by przez to zyskał?

Chyba że ktoś trzeci próbuje zrobić Lovella... Ktoś, kto dobrze wie, jak bardzo przejmuje się on klątwą.

A może - Jupiter poczuł dziwny ucisk w żołądku - a może klątwa naprawdę działa?

Wyśmiał samego siebie. To przecież Pete wierzy w duchy, nie on.

A jednak...

Rozmyślenia przerwał donośny głos Boba.

- Dzwonił właśnie Pete. Prosił, żeby ci przekazać, że idzie teraz na chwilę do szkoły. Kelly prosiła go, żeby obejrzał próbę dziewczyn, które przygotowują doping jego drużyny.

- Aha - odpowiedział Jupiter nieuważnie.

- Co byście powiedzieli - zaproponował Bob, kiedy taśma się skończyła - gdybyśmy poszli teraz na jakieś meksykańskie jedzenie? Ja stawiam.

- Świetny pomysł! - podskoczył Buzz.

- Co o tym myślisz, Jupe?

Biedny Jupiter. Jego kubki smakowe stanęły na baczność na samą myśl o kruchych taco. Ale dieta! Wytrzymał już tak długo. Niedawno zauważył, że ulubione bermudy są jakby luźniejsze w pasie...

- Nie, dziękuję - oznajmił stanowczo. - Mam jeszcze trochę roboty. Potem jesteśmy umówieni z Pete'em. George zaprosił nas do teatru. Będzie próbować nowy taniec.

- No to cześć - Bob i Buzz wylecieli z przyczepy.

Po ich wyjściu Jupiter z całych sił próbował skupić się na pracy, ale zamiast tekstu na ekranie miał przed oczami tylko jedzenie, którego sobie ostatnio odmawiał. Pachnący cheeseburger z soczystym bekonem... Talerz meksykańskich placków ze smakowitym nadzieniem. Świeże francuskie bułeczki z cynamonem... Przypomniało mu się, z jakim apetytem Vic i George wgrzali się w te bułki u Lovella.

U Lovella! Nagła myśl poraziła Jupitera.

Musi coś sprawdzić! Coś, co powinno być sprawdzone wczoraj! Coś, co może wiele wyjaśnić!

Przewracając krzesło rzucił się do drzwi. Pognał do samochodu i ani w głowie były mu bogate w węglowodany przysmaki. Byle tylko Lovell był w domu!

## ROZDZIAŁ 9

### LEPKA POSZLAKA

W drodze do mieszkania Lovella Jupiter zatrzymał się przed szkołą. Żeby nie tracić czasu, podjechał jak najbliżej boiska. Parkując poszukiwał wzrokiem Pete'a.

Nie było to trudne - Pete był praktycznie jedynym mężczyzną obecnym w tym miejscu. Siedział na samym przedzie, wygodnie oparty o ławki następnego rzędu.

Wokół słychać było rytmiczne skandowanie dziewcząt, które pod kierunkiem Kelly ćwiczyły właśnie prosty układ kroków i podskoków:

*Nie podskakuj, wrogów zgrajo,  
Nasi chłopcy znów wygrają!*

To nie jest konkurencja dla Szekspira, pomyślał Jupiter, przeskakując barierkę. Pete rozpromienił się na jego widok.

- Miałem przecucie, że tu zajrzysz - powiedział. - W zespole pojawiło się kilka nowych dziewczyn. Nieźle sztuki.

Jupiter spojrział ukradkiem na boisko. Pete miał rację. Nie żeby to było ważne, ale... Kłopot polegał na tym, że im ładniejsze dziewczyny pojawiały się na horyzoncie, tym bardziej niezdarzy robił się Jupiter. Już na samą myśl o dziewczynach czuł ucisk w gardle i plątał mu się język.

A przecież teraz jego głównym zadaniem było rozplatanie powikłanej sprawy. Nie mógł stwarzać nowych problemów!

- Wcale nie dlatego tu jestem. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Trzeba sprawdzić coś w mieszkaniu Lovella jeszcze przed próbą. Ale najpierw muszę zadać Kelly jedno pytanie.

- Łap ją teraz - Pete obejrzał się przez ramię. - Chyba zarządziła właśnie przerwę.

Jupiter podniósł się i ruszył w stronę płyty boiska. Od razu zauważył, że kilka par oczu uważnie śledzi jego ruchy. Natychmiast poczuł się tak, jakby zamiast nóg miał dwie ciężkie kłody. Wydawało mu się, że pod koszulą dokładnie widać zarys jego żołądka.

Dotarł jakoś do skraju bieżni. I wtedy to się stało. Potknął się o wystającą krawędź asfaltowej nawierzchni, zachwiał i o mało nie upadł. Głuchy płask stóp

uderzających o ziemię zabrzmiał jak wystrzał.

- Uff! - wyrwało mu się.

Dwie ładne dziewczyny uśmiechnęły się pod nosem i odwróciły do niego plecami.

Jupiter był na dnie. W tej jednej chwili uznały, że nie warto zaprzętać sobie nim głowy! A on? Co się działo z nim w tej samej, krótkiej chwili? On doznał upokorzenia, którego nie da się opisać słowami. Po czymś takim można jedynie schować się najgłębszą dziurę i czekać na śmierć.

Ale nie! Nie wolno poddawać się fatalistycznym nastrojom! Nie wtedy, gdy rozwiązanie sprawy zależy od jego niezwykłych zdolności. Najwyższy czas, by skorzystać z aktorskiego doświadczenia.

Jupiter wyprostował się i niespiesznym krokiem wszedł na trawę. Miał nadzieję, że bije od niego pewność siebie.

- Jupiter! Czy coś się stało? Wyglądasz dziwnie - wykrzyknęła Kelly na jego widok.

No, może nie była to aż taka pewność siebie...

- Wszystko w porządku. Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

Odeszli na bok, z dala od uszu podopiecznych Kelly.

- Mam tylko pięć minut - oznajmiła mu po drodze. - Ćwiczymy nowy układ. Musi być gotowy na jutro, na rozpoczęcie roku szkolnego.

- Powiedz mi tylko jedno. Wczoraj u Lovella Madeiry podniosłaś z podłogi popiersie Szekspira. Pamiętasz, jakie ono było?

Kelly zawahała się przez moment.

- Marmur jak marmur... Chłodny, gładki w dotyku.

- Poczekaj. Nie o to mi chodzi. Przypomnij sobie, czy czegoś na nim nie było? Jakiejś plamy na przykład.

- Wiesz, teraz kiedy o tym mówisz - odpowiedziała Kelly po chwili zastanowienia - wydaje mi się, że było jakby... lepkie.

- Lepkie! - Jupiter próbował powściągnąć podniecenie. - Jaki to był rodzaj lepkości? Klej? Jedzenie?

- Nie mam pojęcia...

- Przyjmiecie do gry trzeciego zawodnika? - zaciekawiony Pete zbliżał się do nich.

- Chcę ci powiedzieć, Pete, że twoja dziewczyna ma zadatki na wielkiego

detektywa - zawołał Jupiter.

- Zawsze tak uważałam. Ale co ja ci właściwie powiedziałam teraz?

- Jeszcze tego dokładnie nie wiem, ale - tu Jupiter spojrzął na wielki zegar nad ich głowami - jest dokładnie pierwsza pięć. Mamy niecałą godzinę na to, żeby pojechać do Lovella. O drugiej musimy być w teatrze, wtedy zaczyna się próba. Mam przecucie, że...

- Poczekaj, Jupe - przerwała mu Kelly. - Powiedziałeś my?

- Tak - Jupiter był kompletnie zaskoczony tonem jej głosu. - Pete i ja. Z chęcią byśmy cię wzięli, ale masz próbę.

Kelly obrzuciła Pete'a ostrym spojrzeniem.

- Wiesz, Jupe - Pete przestępował niepewnie z nogi na nogę - obiecałem Kelly... Wymyśliła coś nowego i muszę... to znaczy... chcę to zobaczyć.

Kelly uśmiechnęła się i Jupiter od razu wiedział, że wykonanie zadania spada na niego. Przez chwilę poczuł coś na kształt gniewu. Wygląda na to, że tylko on traktuje sprawę serio.

Na szczęście nie trwało to długo. Przecież tyle razy Pete i Bob byli z nim.

- No to do zobaczenia w teatrze - powiedział.

- Będziemy na pewno - odpowiedziała Kelly. - Nasza próba kończy się o wpół do drugiej.

Jupiter wciągnął brzuch, kiedy mijał dziewczyny, i wrócił na parking. Ostatecznie trudno winić Pete'a za to, że jest gwiazdą towarzystwa, pomyślał kierując samochód w stronę zachodnich dzielnic miasta.

Zadanie nie było łatwe. Jak wyciągnąć od Madeiry niezbędne informacje bez wzbudzenia jego podejrzeń, zastanawiał się przez całą drogę Jupiter.

Była dokładnie pierwsza trzydzieści, kiedy dotarł na miejsce. Podbiegł co sił do drzwi, nacisnął dzwonek i czekał.

- Tak? - usłyszała po chwili stłumiony głos.

- Jupiter Jones - odpowiedział, ale nie doczekał się żadnej reakcji. - Przyjaciel George'a Brandona - dodał pośpiesznie.

Drzwi otworzyły się.

- Nie wiedziałem, że masz na imię Jupiter - Lovell przypatrywał mu się zmrużonymi oczami. - Jupiter... hmm. Osobowościowe bardziej pasuje mi do ciebie Saturn...

Jupiter poczuł się wyjątkowo nieswojo.



- Prawdę mówiąc - wyjąkał - przyszedłem tutaj, żeby zadać panu kilka pytań. Czy mogę wejść na moment?

- Dosłownie za chwilę muszę wyjść do teatru - Lovell zerknął na zegarek. - W czym mogę pomóc?

- Nie będę tracić czasu na niepotrzebne wstępy - zaczął Jupiter z poważną miną. - Martwię się o George'a. Wydaje mi się, że kpiąc z klątwy Makbeta wystawia się na prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie wiem, co robić, i potrzebuję pańskiej rady.

Udobruchany Lovell pokiwał głową i cofnął się o krok.

- Wejź do środka.

Z wyrazem triumfu na twarzy poprowadził Jupitera do pokoju na końcu korytarza.

- Widzę, że nasz wczorajszy seans nie pozostawił cię obojętnym - powiedział.

- To prawda, chociaż muszę się panu przyznać, że od czasu do czasu ogarniało mnie straszne uczucie głodu i nie myślałem wtedy o niczym innym.

- Takie doświadczenia - zachichotał Lovell - wychodzą najlepiej na pusty żołądek. Sam nie jadłem przez cały dzień.

Jupiter wiedział już, że George i Vic nikogo nie poczęstowali swoimi bułkami.

Pokój, w którym odbywało się spotkanie, był nieskazitelnie czysty. Jupiter ogarnął go wzrokiem, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Przełącznik górnego światła znajdował się po prawej stronie drzwi. Nieco dalej zauważył kontakt z długim kablem, wijącym się po podłodze aż do lampy stojącej w rogu. Marmurowy Szekspir spoglądał surowo ze stolika pod przeciwległą ścianą.

Jupiter ocenił, że odległość między popiersiem a kontaktem wynosi nieco ponad trzy metry. Próbował przypomnieć sobie, gdzie kto siedział wczorajszego popołudnia. Lovell - przy drzwiach, po jego prawej - dziewczyna w okularach, chłopak z kręconymi włosami i Vic. Dalej trzy nieznane osoby i George, najbliżej Szekspira, potem dwie albo trzy aktorki i oni - Jupiter, Pete i Kelly, na których krąg się zamykał.

- Wciąż trudno mi uwierzyć - Jupiter zdecydował się już, jak poprowadzić atak - że to nie był jakiś, jakby to powiedzieć...

- Trik - dopowiedział spokojnie Lovell. - Wiele osób, które po raz pierwszy stykają się ze zjawiskami tego typu, myśli podobnie. Ale jeśli to naprawdę był trik, powiedz mi, jakim cudem zgasła lampa?

- Mogła być połączona z wyłącznikiem czasowym.

- Jasne - zaśmiał się Lovell. - Potem ja pogałem w ciemności na drugi koniec

pokoju, zrzuciłem popiersie i szybko wróciłem na swoje miejsce, żeby zapalić górne światło! Tak to sobie wyobrażasz?

- Może po prostu przepaliła się żarówka?

- Nic podobnego. Sprawdziłem po powrocie do domu. Wtyczka była wyciągnięta z kontaktu.

Jest! - pomyślał Jupiter. - Powinienem od razu to sprawdzić, zamiast zajmować się George'em.

- Ktoś z obecnych mógł ją przecież wyciągnąć - dodał głośno.

- Nie ktoś - złowieszczym tonem powiedział Lovell - ale coś!

Jupiter udał, że z całą powagą rozważa podobną możliwość.

- Byłoby to bardzo dziwne...

- Młody człowieku - Lovell położył Jupiterowi rękę na ramieniu. - Jak rozumiem, czujesz się odpowiedzialny za swojego przyjaciela. Porozmawiaj z nim. Ciebie posłucha prędzej niż mnie. Musisz go ostrzec.

Spojrzał szybko na zegarek.

- Wstyd mi być nieuprzejmym wobec gościa, ale muszę już wyjść. Teatr nie znosi spóźnialskich.

- Oczywiście - Jupiter odwrócił się i wyszedł na korytarz, rzucając od niechcienia: - Byłbym zapomniał. Moja przyjaciółka Kelly prosiła, żeby przekazać jej przeprosiny. Widzi pan, tuż przed wczorajszą sesją jadła słodkie bułki i nie zdążyła umyć rąk. Boi się, że w tym całym zamieszaniu zabrudziła lukrem jakieś rzeczy.

Lovell kiwnął głową.

- Aaa, to pewnie ta dziewczyna, która podniosła z ziemi popiersie Szekspira, prawda? Rzeczywiście, musiałem zmyć jakąś lepkaż z marmuru. Pachniała cynamonem. To samo było na wyłączniku lampy.

Jupiter bardzo się pilnował. Za nic nie mógł zdradzić swojego podniecenia.

- Kelly było bardzo przykro.

- Powiedz jej, żeby się nie przejmowała. Odczyściłem to bez trudu.

Podeszli do drzwi wejściowych. Przekręcając klucz w zamku, Lovell spojrzał na Jupitera.

- Zapraszam na następny seans. Ale to nie będzie wnet. Will musi się trochę uspokoić.

- Will?

- Mówię o Szekspirze, oczywiście.

- Aha - kiwnął głową Jupiter. - A więc - do zobaczenia w teatrze.

Jechał wolno, ale jego myśli pędziły z szybkością co najmniej stu kilometrów na godzinę. Stało się jasne, że pierwszym podejrzanym jest Vic. Tylko on poza George'em jadł bułki. Ale czy to możliwe, żeby wyciągnął wtyczkę i przebiegł w ciemności przez pokój, żeby spuścić Szekspira na głowę kolegi? A potem wrócił i zapalił światło?

Dopiero co Lovell wyśmiał taki scenariusz. A jednak Vic był dużo młodszy i sprawniejszy fizycznie. Nie można więc wykluczyć podobnego przebiegu wydarzeń.

Jednego tylko Jupiter był pewien. To nie duch Williama Szekspira był winny. Chyba że duchy jadają słodkie bułki.

## ROZDZIAŁ 10

### ZEW SCENY

Przed teatrem kłębił się tłum ludzi. Jupiter zwolnił i rozejrzył się zdziwiony. Publiczność szturmowała kasę. Kolejka ciągnęła się do następnej przecznicy.

Pewnie wszyscy oglądali wczoraj wieczorne wiadomości, pomyślał. Takie podgrzanie atmosfery to czysty zysk dla teatru. Nawet przed oficjalną premierą.

Ostrożnie wjechał na parking. Samochód podskoczył na solidnej rampie najezonej metalowymi kolcami, które chowały się powoli podczas wjazdu i skutecznie uniemożliwiały wyjazd potencjalnie nieuczciwym kierowcom, jeśli próbowaliby wyjechać tędy bez płacenia. Chyba że ich zamiarem było pociąć opony na drobne kawałki.

Mimo że podobne urządzenia były często używane w Kalifornii, Jupiter zawsze wzdrygał się na ich widok. Przypominały mu średniowieczne narzędzia tortur. Nie lubił też głuchego dźwięku, jaki wydawały koła pokonujące tę przeszkodę.

Znalazł miejsce na parkingu i pobiegł do wejścia dla aktorów. Luther kiwnął mu głową na przywitanie. Pete przyjechał wcześniej. Stał w drzwiach prowadzących na scenę i rozmawiał z George'em.

- Cześć - przywitał się Jupiter. - Widzę, że udało ci się przeżyć noc.

- Odpukać, ale nic się nie wydarzyło od naszego ostatniego spotkania - i George rzeczywiście odpukał trzy razy w drewniany blat stołu.

Jupiter przyjrzał mu się uważnie - na czole nie miał już nawet śladu po siniaku.

- A gdzie Kelly? - zapytał, rozglądając się wokoło.

Pete wskazał głową w głąb korytarza. Tam, w ciemnym kącie, Kelly ćwiczyła jakiś łatwy układ taneczny. Jej włosy falowały w rytm kroków.

- Co ona robi? - Jupiter szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- Pamiętasz wczorajsze ogłoszenie? - uśmiechnął się Pete.

- Żartujesz? Chyba nie chcesz powiedzieć, że postanowiła zgłosić się na przesłuchanie!

- Kto wie? - wzruszył ramionami Pete. - Ale to chyba tylko marzenia.

- Przygotować się do "Kyoto con Moto" - zachrypiął w głośnikach głos Jima Bernardiego.

- To zupełnie nowy numer taneczny. Pokażemy go dzisiaj pierwszy raz. Zobaczcie go z krzeseł - zaproponował George.

- To znaczy z widowni - wyjaśnił Jupiter, widząc zaskoczoną minę Pete'a.

Zawołali Kelly i bocznymi drzwiami zeszli do amfiteatru. Ledwo zdążyli usiąść, kiedy światło na scenie zgasło. Usłyszeli szum przesuwającej się obrotówki, a potem delikatne dźwięki fortepianu. Pianista grał melodię wzorowaną na muzyce Dalekiego Wschodu.

- Gdzie reszta orkiestry? - szepnął Pete.

- Nie ma ich na próbach. Za drogo - wyjaśnił Jupiter.

Tymczasem na scenie zabłyśły reflektory. Ich rozproszone światło padało od tyłu na wielkie, matowe powierzchnie przypominające nieco japońskie parawany. W ten prosty sposób osiągnięto nastrój tajemnicy i grozy.

W tej samej chwili muzyk zmienił rytm. Rozległa się głośna, pulsująca melodia o wyraźnym, rockowym brzmieniu. W głębi sceny, za ekranami, pojawili się tancerze. Widać było tylko zarys sylwetek, które zdawały się przenikać nawzajem. Ostre, kanciaste ruchy stanowiły kombinację tańca jazzowego i walk Wschodu. Efekt był wspaniały.

Jupiter patrzył zafascynowany, jak cienkie promienie laserów przecinają powierzchnię z przodu ekranów.

Nagle wszyscy tancerze zastygli w bezruchu, jakby na coś czekali. I wtedy pojawił się solista. Odbił się od ziemi i przez chwilę wydawało się, że płynie w powietrzu. Jego cień wylądował pośrodku sceny: zaczął się wspaniały solowy popis.

- To George - krzyknęła zaskoczona Kelly.

Jupiter nie odrywał oczu od sylwetki tancerza. Wiedział już, że George umie tańczyć, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że jest aż tak dobry. Panował nad całą sceną, a każdy jego ruch, precyzyjnie zsynchronizowany z muzyką, był niewiarygodnie piękny.

- Jest całkiem niezły - bąknął zaskoczony Pete. - Mam na myśli sztukę walki, oczywiście.

W słowach Pete'a Jupiter wyczuł lekki, choć wyraźny podtekst. "Też bym tak umiał", zdawał się mówić przyjaciel.

George wspiął się teraz na wysoką konstrukcję w głębi sceny. Jego ciemna sylwetka z rozpostartymi ramionami rysowała się wyraźnie nad sceną. Na dole tancerze zaczęli poruszać się w szaleńczym rytmie muzyki. George ugiął kolana i wyskoczył w górę. Na moment jakby zawisł w powietrzu i...

I wtedy rozległ się dziwny rumor.

- Obrotówka! - krzyknął przerażony Jupiter.

Bezpieczne lądowanie na poruszającej się scenie było absolutnie niemożliwe!

Ekran y zachwiały się. Kilku zaskoczonych tancerzy upadło z krzykiem na podłogę. Zza sceny dobiegły zdenerwowane głosy.

Bezradnie obserwowali lądującego George'a. Nie zdołał utrzymać równowagi. Nogi załamały mu się pod dziwnym kątem i plecami uderzył o scenę. Jęknął z bólu i potoczył się na bok, jak zepsuta marionetka.

Jupiter, Pete i Kelly zerwali się z miejsc i pognali do stopni prowadzących na scenę. Muzyka zamilkła, zapalono światła na widowni, scena zaroiała się od ludzi. Już wbiegali na schody, kiedy czyjaś muskularna ręka z wyraźnym tatuażem zagroziła im drogę.

- Nie upoważnionym wstęp na scenę wzbroniony - Bruno z wyraźną satysfakcją patrzył prosto w oczy Jupiterowi.

- Ale przecież wiadomo, kim jesteśmy!

- Tu nie ma żartów - pokręcił głową Bruno. - W podobnych sytuacjach tylko członkowie zespołu i personel techniczny mają prawo być na scenie. Taki jest regulamin firm ubezpieczeniowych. Nie możemy wziąć na siebie odpowiedzialności za wasze bezpieczeństwo.

Jupiter cofnął się o krok. To, co mówił Bruno, miało sens. Nie zrobił tego z czystej złośliwości.

Bezradnie patrzyli na scenę.

- Ładna z nas pomoc, nie ma co! - mruknął Pete.

Nagle z tyłu rozległ się znajomy głos:

- Co tu się dzieje? Dekoracje spadły wam na głowę?

- George! - zawołali chórem.

George, cały i zdrowy, szedł w ich stronę.

- Jak trochę poćwiczycie, będziecie mogli razem występować - zażartował. - Czy ktoś może mi powiedzieć, co tutaj się dzieje?

- Ale ty przecież byłeś tam - wyjąkała Kelly, wskazując tłum na scenie.

Jim Bernardi z pomocnikiem znosili właśnie kogoś ze sceny. Kogoś, kto miał wzrost, włosy, a nawet piegi takie jak George, ale nie był George'em.

- To nie był on - powiedział cicho Jupiter. - Tylko cień był identyczny.

- Wiesz - próbował wyjaśniać Pete - z tej odległości wydawało się... myśleliśmy...

- Wiem - George nareszcie zrozumiał. - Teraz to jasne. John Warren miał

wypadek, a wy myśleliście, że to ja.

- Właśnie tak - wykrzyknęła Kelly.

- Nic dziwnego. Przecież on musi być do mnie podobny. Zaangażowano go do tego numeru, bo ja nie umiem tak się ruszać.

Zza sceny rozległ się rozgniewany okrzyk:

- Kto, do cholery, puścił obrotówkę?

Jupiter rozpoznał nowojorski akcent Bernardiego.

- Przecież sam pan sygnalizował siedemdziesiąt siedem, prawda? To sygnał do włączenia obrotówki - odpowiedział ktoś z prawej kulisy.

- Co? - Bernardi już chciał ruszyć do komputera, kiedy przypomniał sobie, że niesie kontuzjowanego tancerza.

- Musi być jakiś błąd w programie - oznajmił mechanik.

- Błyskotliwa dedukcja - warknął Bernardi w odpowiedzi, ułożył Johna Warrena na kanapie za kulisami i pobiegł do telefonu.

- Co z tobą? - George podszedł do kolegi.

- Chyba złamałem nogę w kostce - John skrzywił się z bólu.

Pete pokręcił głową.

- Biedny facet. Takie rzeczy długo się goją. Wychodzi z gry na kilka miesięcy.

- Mamy kłopoty - powiedział ponuro Jupiter. - Jeśli nie wolno nam być na scenie, kiedy trzeba, nic tu po nas. Równie dobrze moglibyśmy siedzieć przed budynkiem.

- Za dobrze już nas tu znają - dodał Pete. - Nie możemy nawet udawać, że jesteśmy pomocnikami maszynistów czy kimś podobnym. Sytuacja jest beznadziejna.

- Chyba że... - wtrąciła się Kelly z błyszczącymi oczami.

Jupiter i Pete odwrócili się do niej, zaskoczeni. Kelly znacząco popatrzyła w stronę holu. Przez półotwarte drzwi widać było tablicę z ogłoszeniami. Kartka informująca o naborze nowych tancerzy powiewała lekko w przeciągu.

- O nie! - parsknął Pete. - Wybij to sobie z głowy, dobrze? Pomyśl poważnie!

- Poczekaj - Jupiter zdał sobie sprawę, że ogarnia go coraz większe podniecenie.

- Ona ma rację, Pete! Przecież jest rola dla kobiety i dla mężczyzny.

- W tej chwili - sprostowała natychmiast Kelly - potrzebni są dwaj mężczyźni. Szukają wysokiego, przystojnego chłopaka, który wie coś o walkach Wschodu.

Oboje z Jupiterem patrzyli wprost na Pete'a.

- Co? Chyba zwariowaliście. Ja? Tylko takie świry jak wy mogły wpaść na

podobny pomysł! Nie doczekacie się mnie na żadnym przesłuchaniu. Nigdy jeszcze nie występowałem w żadnym przedstawieniu i dobrze mi z tym!

- Ale, Pete - Jupiter nie miał zamiaru ustąpić - ty się świetnie nadajesz. Ćwiczyłeś walki Wschodu. Znasz ruchy. A ja mogę ubiegać się o tę drugą rolę.

- Łatwo ci mówić, Jupe. Byłeś kiedyś telewizyjną gwiazdą. A Kelly marzy o tym, żeby zagrać w prawdziwym teatrze. Idźcie sobie na przesłuchanie, jeśli tego chcecie. Mnie zostawcie w spokoju - Pete bronił się jak lew. - Nie mam ani praktyki, ani chęci. A poza tym - za bardzo bym się denerwował.

- Denerwował? Widziałem cię nieraz na boisku. Obojętnie, czy grasz w kosza, czy w piłkę, zawsze panujesz nad sobą! Nie biorą cię nawet dzikie owacje na twoją cześć. Powiedz mi, czym to się ma różnić?

- Peterze Dunstanie Crenshaw - głos Kelly brzmiał bardzo stanowczo. - To życiowa szansa. Wspaniałe nowe doświadczenie! Musisz zdać sobie z tego sprawę. Nie dość, że zrobimy coś razem, to jeszcze rozwiążesz kryminalną zagadkę. Nie mówiąc o tym, że Jupiter podzieli się z tobą swoją wiedzą o technice gry.

Pete czuł się jak zwierzę schwyte w pułapkę. Przenosił spojrzenie z Kelly na Jupitera i z powrotem.

- Jupe, pomożesz mi? - zapytał w końcu.

Szeroki uśmiech pojawił się na twarzy Jupitera.

- Pete, mój chłopcze, zrobię z ciebie wielką gwiazdę!



## ROZDZIAŁ 11

### TWARZĄ W TWARZ Z... MUZYKĄ

- Wypad, krok, krok, obrót! Chasse w lewo! Chasse w prawo! Biodra! Ręka! Uwaga na rękę! A teraz podskok.

Pot zalewał Pete'owi oczy. Czuł się, jakby włożył głowę pod kran. Starał się nadążyć z wykonaniem wszystkich poleceń nauczyciela tańca, ale ledwo mu się udawało. W porównaniu z tym, co robił teraz, najbardziej skomplikowane mecze koszykówki były niczym.

Zaledwie kilka godzin po incydencie w teatrze, Jupiter zaciągnął Pete'a na kurs tańca. Do próby sił na prawdziwej scenie pozostał tylko jeden dzień.

- Robisz to dla sprawy. Dzięki temu możesz ocalić życie George'a - powtarzał sobie raz po raz Pete, zastanawiając się równocześnie, jakim cudem Bobowi udało się uniknąć tego wszystkiego. No, ale Bob, ten farciarz, pracował u Saxa i natychmiast wymówił się nadmiarem obowiązków.

Jupiter natomiast pozostał na posterunku.

Właśnie w tej chwili przeciskał się między tancerzami, cudem unikając wyrzucanych wysoko w powietrze rąk i nóg. Oparł się o drewniany drążek obiegający ściany, żeby pomasować uda. Policzki miał krwistoczerwone z wysiłku, a włosy kompletnie mokre od potu. Podkoszulek z podobizną Alberta Einsteina przylepił się mu do pleców. Wydawało się, że uczony przygląda się im z ironicznym uśmiechem.

Pete przypomniał sobie słowa Jupitera: "Dla ludzi, którzy ćwiczą judo, taniec jazzowy to bułka z masłem". Ciekawe, co powiedziałby teraz. Jak na kogoś, kto całkiem nieźle radzi sobie na macie, był z niego beznadziejny tancerz. I pomyśleć, że Jupiter miał być tym, który wprowadza Pete'a w arkana sztuki!

- Dobra robota - krzyknął baletmistrz. - Teraz dla odpoczynku zrobimy kilka ćwiczeń naciągających. Proszę na miejsca. Gotowi? Postawa. I raz, dwa, trzy, i demiplie, plie, plie. Ciągnij w górę! Uwaga na ramiona!

Stojąc na czubkach palców Pete próbował nie myśleć o bólu łydek, który wydawał się nie do wytrzymania. Kątem oka zauważył, że Jupiter z całych sił stara się zachować równowagę. Przychodziło mu to z trudnością. Strumyczki potu spływały mu po twarzy i rozpaczliwie mrugał oczami, żeby cokolwiek widzieć. Nagle zachwiał się, desperacko zamachał rękami i ze smętnym pacnięciem wylądował na podłodze.

Pete zamknął oczy. Myślał tylko o upokorzeniu, na jakie obaj narażą się jutro.

Dlaczego dał się w to wmanewrować? Dlaczego się zgodził?

Następnego dnia Pete czuł się, jakby przejechał po nim walec. Na domiar złego czekał właśnie na przesłuchanie, siedząc w towarzystwie kilkunastu młodych ludzi, z których każdy bez wyjątku wyglądał na zawodowego tancerza. Wszyscy mieli na sobie szpanerskie i kosztowne kostiumy. Pete, w spodniach od dresu i podkoszulku z napisem "U nas - najtańsze części zamienne", czuł się jak biedne dziecko stróża.

A już do końca stracił humor, kiedy ci faceci zaczęli rozgrzewkę. Jeden podskoczył tak wysoko, że o mało nie rozbił głową lampy pod sufitem. Drugi obrócił się co najmniej ze trzy razy w pełnym gracji piruce. Jeszcze inny swobodnie zrobił szpagat. Lepiej było na to nie patrzeć!

- Jupe, to nie są normalni ludzie - mruknął pod nosem do przyjaciela. - Patrz, oni się nawet nie poca! I na dodatek - robią to wszystko i jeszcze rozmawiają! Ja nie chcę. Czuję się jak goryl, nawet kiedy siedzę.

- Nie martw się o nic. Oni nie mają pojęcia o tym, co jest najważniejsze - sapnął Jupiter, powoli prostując się po serii skłonów. Mimo że z trudem sięgał dłońmi do palców stóp, pewny siebie uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Co? A może podzieliłbyś się ze mną informacją, co jest najważniejsze?

- Charyzma.

- No, świetnie. Gdzie ją można kupić?

Jupiter zignorował jego ironiczną uwagę i spokojnie ciągnął:

- Ci tutaj ludzie chcą tylko pokazać się reżyserowi. Dążenie do perfekcji ich nie interesuje. A ty, przeciwnie- całym sobą przesyłasz komunikat, że jesteś stworzony do roli, jaką dla ciebie mają. Komisja musiałaby być ślepa, żeby tego nie zauważyć.

- Skąd ty to wiesz? Przecież nigdy nie brałeś udziału w przesłuchaniach. Nawet w czasach "Małych urwisów".

- To prawda, ale pozwalali mi przyglądać się zdjęciom próbnym, kiedy szukali aktorów do innych ról. Jednego nie zapomnę nigdy, Pete. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków dostrzegasz tę właściwą osobę dokładnie w chwili, kiedy wchodzi na scenę. Zanim jeszcze zrobi pierwszy ruch.

- Nawet jeśli nic nie umie? Niemożliwe, żeby to nie było ważne.

- Pete - Jupiter uspokajającym gestem położył lepką od potu rękę na ramieniu kolegi. - W ciągu jednego dnia, pod moim kierunkiem, zrozumiałeś, na czym polega istota ruchu, a więc tańca też. Wielu ludziom potrzeba na to lat. Jesteś sportowcem od

lat ćwiczysz walki Wschodu, poruszasz się naturalnie. Połowa batalii wygrana. Im pozostanie tylko nauczyć cię reszty.

Popatrzył Pete'owi prosto w oczy.

- Masz teraz jedno zadanie. Przekonaj ich, że jeśli chcesz, zdobędziesz cały świat.

Pete poczuł przyływ sił i pewności siebie. Jupiter wygłaszał rzeczy banalne, ale było w nich ziarno prawdy. Poza tym, jeśli ktoś tak głupi jak Matt Grant ma szansę na rolę George'a....

Wyprostował się dumnie. Miał misję do spełnienia. Być może ratował czyjeś życie. Oczywiście, że on - Peter Crenshaw dostanie tę rolę. Z hardą miną przepchał się przez tłum tancerzy i wszedł na schody prowadzące na scenę. Dlaczego nie miałby być pierwszy?

Nad ich głowami zadudniły kroki. Znaczyło to, że skończył się przegląd kandydatek do roli żeńskiej. Gdzieś tam między dziewczynami była Kelly. Pete wiedział, że już nie ma odwrotu. Czuł się jak kłębek nerwów.

Zadowolona Kelly zbiegła po schodach i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Udało ci się! - krzyknął.

- Nie - potrząsnęła głową. - Nie miałam aż takiego szczęścia. Ale doszłam do przedostatnich eliminacji. To całkiem niezłe.

- Gratulacje - uśmiechnął się Pete.

- Dzięki - Kelly ucałowała go w policzek i pchnęła w kierunku sceny. - Poczekam na ciebie. Złam kark.

Popatrzył na nią kompletnie zaskoczony.

- Tak się mówi przed wyjściem na scenę - wyjaśniła. - To znaczy, że życzę ci szczęścia.

Po odejściu Kelly Pete poczuł, że jego pewność siebie gdzieś się rozwiała. Jeśli jej się nie udało...

Na szczęście pojawił się nieduży brodaty facet.

- Zaczynamy. Proszę ustawić się w rzędzie.

Jak posłuszne stadko dzieci ustawili się w kolejce u podnóża schodów.

- Jestem Ron deJomb, choreograf. Mam nadzieję, że każdy z was liźnął coś niecoś z kung-fu i tai-chi. Plan jest taki: dzielę was na grupy, żeby pokazać kombinację kroków i figur. Potem wzywamy was pojedynczo na scenę. Dopiero wtedy przyjrę się wam uważnie i wybiorę tych właściwych.

Uśmiechnął się szeroko. Odpowiedział mu niepewny chichot tancerzy.

Pete poszukał wzrokiem Jupitera. Stał z tyłu i miał bardzo niepewną minę. O rany, pomyślał Pete, zaciskając kciuki na szczęście. A może naprawdę złamię nogę, i będzie spokój? Zreflektował się zaraz - robi to dla sprawy. Tylko w ten sposób może uratować życie George'a.

Wypad, podskok, wypad. Prawa ręka, lewa ręka. Obrót. Koniec. Muzyka zamilkła.

Naprawdę koniec. Pete czuł, że dał z siebie wszystko. Stał teraz pośrodku wielkiej sceny, oddychając ciężko.

- Pete, poczekaj chwilę - usłyszał z widowni głos niewidocznego deJomba.

Żołądek Pete'a zaczął zachowywać się bardzo dziwnie. Podskoczył, obrócił się, a potem jakby zmniejszył objętość. Jakby nie należał już do niego, ale zaczął własne, niezależne życie.

DeJomb nie powiedział "dziękuję".

Jupiter wyjaśnił, że niewinnie brzmiące "dziękuję" znaczy naprawdę "dziękuję, nie". Jak dotąd deJomb dziękował wszystkim. Jupiterowi też.

Pete wpatrywał się w słabo oświetloną widownię. Zaaferowany deJomb rozmawiał szeptem z Craigiem Jacobsem, reżyserem przedstawienia. Obaj spoglądali na niego od czasu do czasu. Wyglądało na to, że próbują coś zadecydować.

Pete z trudem trzymał się na nogach. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Czekał cały spięty.

W końcu Jacobs usiadł, a deJomb z sympatycznym uśmiechem podszedł do sceny.

Znaczyło to, myślał rozgorączkowany Pete, że się im spodobałem. Dlatego rozmawiali tak długo. Jupiter miał rację - będę gwiazdą. Teraz teatr Garbera, potem - kto wie? - może Broadway. A kiedyś - nagroda Tony'ego dla najlepszego tancerza?

A może - specjalnie dla niego, wymyślą nową kategorię nagród?

Serce biło mu mocno.

Potem deJomb przyjaźnie kiwnął głową i wypowiedział dwa słowa, które w brutalny sposób sprowadziły Pete'a na ziemię:

- Dziękuję bardzo.

## ROZDZIAŁ 12

### WPROWADZENIE DO GRY

- Wszystko przez ten wypad z obrotu. Straciłem równowagę przy wyrzucie nogi w górę i wyszedłem na kompletnego oferwę - Pete nerwowym krokiem chodził tam i z powrotem po pokoju.

Jupiter wiedział już, że własnymi rękami stworzył potwora. Pete był tak przejęty swoim niepowodzeniem na próbie, że śledztwo, które prowadzili, przestało go obchodzić, jeśli będą pracować w takim tempie, nigdy nie odkryją, kto zagraża George'owi Brandonowi!

- Nie martw się za wcześnie - Kelly pogłaskała Pete'a po głowie. - Za wcześnie, żeby myśleć, że wyleciałeś z gry.

- Ale przecież już mi podziękowali...

- Czekaj, czekaj - wtrącił się Jupiter. - Przecież powiedzieli "dziękuję bardzo" wszystkim bez wyjątku. Nawet tym, którzy doszli do ostatnich eliminacji. Całkiem możliwe, że nie podjęli decyzji od razu i jesteś wciąż liczącym się kandydatem. A skoro tak, to być może, że ja też nie jestem odwalony? Ale teraz i tak musimy się skupić na...

Przerwał mu głośny dzwonek. Pete rzucił się do telefonu w takim tempie, że strącił aparat ze stolika.

- Halo? - powiedział przejętym, piskliwym głosem.

Jupiter z trudem opanował śmiech. Tymczasem Pete oniemiał.

- Tak... Naprawdę? - wyjąkał. - Czy ma pan na myśli na pewno Petera Crenshawa?

Kelly i Jupiter rzucili się na Petera. On odwrócił się i, wciąż ze słuchawką przy uchu, niemo powiedział:

- Udało się.

Kelly zaczęła podskakiwać ze szczęścia, Jupiter z uznaniem poklepał go po ramieniu. Równocześnie próbował zwalczyć głos wewnętrzny, który uparcie szeptał, że jemu także należy się rola w przedstawieniu.

I wtedy, jakby czytając w jego myślach, Pete zapytał:

- Przepraszam, chciałbym jeszcze dowiedzieć się o mojego przyjaciela Jupitera Jonesa... Tak, wiem, że nie ma go teraz w domu. Jest tutaj... Jasne i wyciągnął słuchawkę do Jupitera. - Dejomb chce z tobą mówić...

- Tu Jupiter Jones - Jupiter włożył mnóstwo wysiłku, żeby nikt nie zauważył, że

cały trzęsie się z podniecenia.

- Co pan na to - usłyszał głos deJomba - żeby znaleźć się w obsadzie "Niebezpiecznej strefy"?

- W obsadzie... - bąkał Jupiter z trudem. - Pańska przyjemność... to jest... Cała przyjemność po mojej... Chciałem powiedzieć: tak!

- Nawet pan nie zapyta, jaka to rola? - zaśmiał się deJomb.

Jupiter czuł coraz większą pewność siebie. Prawdopodobnie chcą, żeby zagrał chłopaka rywalizującego z George'em o miłość głównej bohaterki. Albo złożoną psychologicznie rolę czarnego charakteru.

- Jestem pewien, że podołam wyzwaniu - powiedział porozumiewawczym tonem. - Nie tylko uczyłem się tańca. Czytałem sporo o metodzie Stanisławskiego. Wiem, że nie wystarczy grać, trzeba do końca wczuć się w postać...

- Miło mi to słyszeć. Wystąpi pan w scenie ucieczki. George i Anna wydostają się z grotty na opuszczonej plaży...

- Tak, tak, pamiętam - przerwał niecierpliwie Jupiter.

- Przewidzieliśmy w tej scenie nowy numer taneczny. George ma sen. Wydaje się mu, że oboje są w domu, w Kalifornii. Nagle wszystkie przedmioty na plaży ożywają i zaczynają tańczyć i śpiewać - wie pan, parasole, deski surfingowe, plażowa piłka, którą wszyscy podrzucają...

- Bardzo interesujący pomysł.

- Mamy dla pana rolę piłki.

Jupiter oniemiał. Kelly i Pete nie spuszczały z niego oczu.

- Co ci proponują? - szepnął Pete.

- Mam grać piłkę? - wydusił w końcu Jupiter.

- Tak. Jest pan do tego stworzony. Wrodzony talent komediowy. Pana występ na przesłuchaniu był niesamowicie śmieszny.

- Wcale nie miał być śmieszny - mruknął pod nosem Jupiter.

- Słucham? Chyba coś się dzieje z moim aparatem.

- Nie, nie. Przyjmuję propozycję. Dziękuję za wiadomość. Do zobaczenia na próbie.

- Świetnie. Dzisiaj o trzeciej. Jupiter odłożył słuchawkę.

- Pamiętaj - usłyszał głos Pete'a. - Robimy to dla sprawy.

-Wspaniała wiadomość!

Po południu wpadli całą trójką do garderoby George'a, w której był właśnie Jim Bernardi.

- Nie mówcie. Sam zgadnę - George zamknął oczy i przyłożył rękę do czoła. - Złapaliście ducha Szekspira. Czeka na proces, przykuty do komputera. Nie, żartuję. Wiem wszystko. Gratuluję. Jupe, będziesz świetną piłką.

- Witajcie w drużynie - Bernardi uściśnął im dłoń. - Od tej chwili przysługuje wam porcja popcornu po każdej próbie.

Porwał średniej wielkości papierową torbę, którą miał za krzesłem.

- Świeża dostawa!

Jupiter wyobraził sobie ciepłą prażoną kukurydzę i ślinka napłynęła mu do ust. Zanim jednak zdążył wyciągnąć rękę, Kelly zawołała:

- Jaki piękny strój! Chyba nowy? - zrobiła kilka kroków w stronę wieszaka, na którym wisiał jedwabny kostium, naszywany mnóstwem cienkich, różnokolorowych wstążek, które mieniły się w świetle.

Nie zdążyła obejrzieć go z bliska, bo rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. To George upuścił lusterko, które rozbilo się na drobne kawałki.

- Ale mnie urządziłaś! - krzyknął. - Tylko na ciebie spojrzałem, i proszę. Stłukłem swoje ulubione lustro.

- To zły znak - Pete schylił się, żeby pozbierać szkło.

- Mówisz jak Lovell.

Zabrali się do usuwania kawałków z podłogi. Jim Bernardi podniósł się także.

- Czas na mnie. Muszę wołać ludzi do nowego numeru. Pete i Jupiter - wiem, że obaj dziś próbujecie. Uważajcie, żeby nie przegapić, kiedy dam wam znak.

- Nie ma sprawy, zaraz skończymy.

Wyrzucili szkło i wyszli z garderoby. W drzwiach Jupiter spojrzął z zalem na nie napoczętą torebkę popcornu. Musiała poczekać.

George przeszedł do prawej kulisy, by tam przygotować się do wejścia. Kelly usiadła na widowni, a Pete i Jupiter zostali z lewej strony, niepewnie wyglądając sygnału od inspicjenta. W pewnej chwili minął ich młody człowiek z żółtym centymetrem na szyi i nożyczkami w rękach.

- To musi być garderobiany George'a - powiedział Jupiter, widząc, że tamten swobodnie otwiera drzwi do pokoju George'a.

- Co właściwie robi garderobiany? - dopytywał się Pete.

- Przygotowuje kostiumy, sprawdza, w jakim są stanie, i w razie potrzeby je

reperuje. Też będziemy mieć kogoś takiego.

- Nie żartuj! W takim razie lepiej być aktorem niż sportowcem. My sami musimy dbać o nasze stroje.

Uwagę Jupitera przyciągnęła leżąca na stole gazeta. Wydrukowany wielkimi literami tytuł głosił: *Idol nastolatków poturbowany. Czyżby zemsta Szekspira?* Pod spodem widniała fotografia George'a z czerwoną szramą na czole, podpisana: *George Brandon, gwiazda pechowego musicalu "Niebezpieczna strefa" po wypadku, który wydarzył się w tym tygodniu.*

- No, no - gwizdnął Pete. - Ten guz wygląda na zdjęciu znacznie gorzej niż w rzeczywistości.

- Racja - Jupiter przyjrzał się uważnie podobieżnie George'a.

- Przecież już następnego dnia nic nie było widać. Założę się, że zrobili to celowo.

Szybko odnalazł rubrykę sensacyjnych wiadomości z życia sfer artystycznych.

- Zobacz - spojrzął mu przez ramię Pete. - Piszą, że Matt Grant podpisał właśnie kontrakt na jakiś zagraniczny film. Z tego wynika, że Manny Firestone jest skazany na George'a - obojętne, czy tego chce, czy nie.

- Auuuu - rozległ się rozpaczliwy krzyk z garderoby.

Jupiter i Pete rzucili gazetę i pognali, żeby sprawdzić, co się stało. Za nimi biegł cały tłum ludzi pracujących za sceną. Na środku pokoju przerażony garderobiany George'a trzymał się za ramię, które w oczach przybierało ogniście czerwony kolor.

- Co się dzieje? - krzyknął Jupiter.

Młody człowiek drapał się zapamiętale. Potem pobiegł do umywalki i włożył nabrzmiałą rękę pod zimną wodę.

- Nie wiem. Czuję się, jakbym włożył ręce w ogień. Jego paznokcie zostały na skórze szkarłatne pręgi.

- Niech ktoś wezwie lekarza - zawołał Jupiter do ludzi z tyłu.

- Jak do tego doszło?

- Nie wiem. Nic nie robiłem. Wziąłem do ręki to i... stało się. Drżącym, opuchniętym palcem pokazywał nowy kostium George'a.



## ROZDZIAŁ 13

### NIEPRZEMYŚLANE DZIAŁANIA

- Proszę państwa, za pół godziny zaczynamy - z głośników rozległ się głos Jima Bernardiego. - Pół godziny.

- Muszę kończyć. Zostało mi tylko pół godziny - George rozmawiał z kimś przez telefon. - Dziękuję za pomoc. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Jupitera i Pete'a:

- Lekarze rozpoznali substancję, którą potraktowano mój kostium. David już dostał odpowiednie lekarstwo. Czuje się lepiej.

- To dobrze - Jupiter odetchnął z ulgą.

Przez całą popołudniową próbę niepokoił się o zdrowie garderobianego. Teraz nareszcie mógł przejść do rzeczy.

- A co z twoim kostiumem? - zapytał.

- Na dzisiejsze przedstawienie wymyślili mi inny. Zaklinają się, że sprawdzili, czy nie jest zatruty - George patrzył w podłogę.

Jego dobry humor rozwiął się jak dym.

- Dasz sobie dziś radę? - martwił się Pete.

- Chyba tak - George wzruszył ramionami - chociaż nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Jestem coraz bardziej przygnębiony tym wszystkim. Z jednej strony - przykro mi ze względu na Davida, z drugiej - pomyślcie, co by było, gdybym to ja włożył ten kostium?

- Prawdopodobnie rzuciłbyś rolę - powiedział Jupiter. - Tak jak chce twój nieznany wróg. Ale to nie jest ważne. Pomóż nam teraz zrobić listę ludzi, którzy mieli dostęp do kostiumu.

- Davida możemy wykluczyć z grona podejrzanych - głośno zastanawiał się George.

- Nie spiesz się tak bardzo - przerwał mu Pete. - Teoretycznie David mógł to zrobić, a potem dotknąć kostiumu przez pomyłkę.

- Poza tym - ciągnął George - scenograf. Dalej - krawcy.

- Nie - pokręcił głową Jupiter. - To musiało się stać u ciebie w pokoju. W przeciwnym razie ten, kto niósł kostium na górę, też znalazłby się w szpitalu.

- Przez moją garderobę zawsze przewalają się tłumy ludzi. Na pewno byli Jim Bernardi i Ron deJomb. Wpadł Vic Hamill, potem kilku innych aktorów. To mógł być każdy.

Vic Hamill. Jupiter nadstawił uszu. Vic jest głównym podejrzanym o zrzucenie popiersia Szekspira. Czyżby próbował stworzyć sobie szansę debiutu na wielkiej scenie?

Jim Bernardi niespodziewanie wsadził głowę do garderoby.

- Jupe, Pete, jeśli chcecie zobaczyć dziś przedstawienie, radzę wam iść zaraz na widownię. Jest pełno ludzi i trudno będzie znaleźć nawet stojące miejsce.

Pognali na salę. Jim miał rację. Dopiero po chwili bileter wskazał im odległy kąt za barierką. Stała tam już Kelly. Przez drzwi widać było foyer i długą kolejkę ludzi czekających cierpliwie przed kasą.

- Wygląda mi, że to będzie przebój sezonu - zagadał Jupiter do biletera.

Poziom adrenaliny we krwi wzrósł mu na samą myśl o tym, że za kilka dni on, Jupiter Jones, będzie musiał zmierzyć się z salą pełną ludzi.

- Bilety wyprzedane na trzy miesiące z góry - powiedział bileter na odchodnym.

- A jeszcze nie było premiery! W ciągu tego tygodnia zamówienia płyną jak rzeka. I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno temu było kompletne dno.

- Słuchałam, co mówią ludzie - odezwała się Kelly. - Wszyscy opowiadają sobie o wypadkach George'a, tak jakby samo przedstawienie wcale ich nie obchodziło. Wydaje się, że tylko czekają, co nowego zdarzy się dzisiaj.

- Każda reklama jest dobra, byle była skuteczna - skrzywił się Pete.

- Według mnie, to obrzydliwe - Kelly rozglądała się z dezaprobatą. - Czy oni mają zamiar bić brawo, jeśli mu się coś stanie?

Przerwali, bo światła zaczęły przygasać. Rozmowy przycichły. Orkiestra zagrała pierwsze takty uwertury. Jupiter zauważył, że Kelly i Pete trzymają się za ręce. Na jej twarzy malowała się duma, Pete z trudem powściągał podniecenie zmieszane ze strachem.

Jupiter rozumiał ich bardzo dobrze. Sam czuł się podobnie. Już za kilka dni usłyszą uwerturę z drugiej strony kurtyny. Był pijany ze szczęścia na samą myśl o tym.

I powoli zapominał, że mają do rozwiązania zagadkę prawie kryminalną.

Podczas przerwy Jupiter, Pete i Kelly pobiegli za kulisy, żeby pogratulować George'owi. Znaleźli go na scenie - chodził tam i z powrotem, wpatrując się w podłogę.

- Świetna robota - krzyknęła Kelly.

Podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Dzięki. Czy zauważyliście, kiedy się sypnąłem?

- Co sypnąłeś? - nie rozumiał Pete.

- Nic nie sypnąłem, tylko sypnąłem się, czyli pomyliłem układ ruchów i kroków. Coś zaskrzypiało im nad głowami. Jupiter momentalnie spojrzał w górę.

- Uwaga! - krzyknął i zepchnął George'a na bok.

Masywne, drewniane drzwi zjechały w dół na dwóch grubych linach i zawisły kilka centymetrów nad sceną, dosłownie o krok od miejsca, w którym stał George. Na scenę wpadł wściekły Jim Bernardi.

- Johansen! - wrzasnął z miną, która nie wróżyła nic dobrego.

- Co się dzieje, jak rany? - Bruno wystawił głowę z prawej kulisy.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, co się stało?

- A co? Może to nie pan przekazał mi przed chwilą sygnał na spuszczenie drzwi?

Weź się w garść, Bernardi, i myśl, co robisz!

Za sceną ktoś próbował uspokajać Brunona. Za późno. Bernardi kipiał z wściekłości.

- Co to znaczy "myśl, co robisz"? - z groźbą w głosie powoli zbliżał się do maszynisty. - Sprawdzenie sceny jest twoim parszywym obowiązkiem, durniu. Wiadomo, że mam martwe pola tam, gdzie stoję. Już dosyć tych tak zwanych wypadków!

- Aa! Teraz mnie chcesz zrobić w to wszystko! - Bruno zacisnął pięści. - A kto jest w tym teatrze odpowiedzialny za polecenia dawane ekipie? Komu mylą się sygnały, co? Czy ktoś już ci powiedział, że te wypadki to twoja wina? Może kiedyś byłeś inspicjentem, stary pierniku, ale teraz przedstawieniu wyszłoby tylko na dobre, gdybyś się stąd zmył.

Bernard! ruszył na Brunona z pięściami. Kilku facetów odciągnęło go w ostatniej chwili.

- Uspokój się, Jim. Wiesz, jaki on jest.

- Zmyć się? - wrzasnął Bernardi. - Dobry pomysł! Będziecie mieć nauczkę, kiedy przedstawienie padnie beze mnie!

Dopadł drzwi. Wychodząc, wskazał palcem Brunona:

- To on jest wszystkiemu winien. Teraz próbuje się wykpić!

- Kłamca! - wrzasnął Bruno.

Odpowiedziało mu głośnie trzaśnięcie drzwiami.

Kilka osób, w tym Jupiter, Pete i Kelly, pognało za Jimem. Zdezorientowani, zatrzymali się w korytarzu, zastanawiając się, co robić. Jedni wybiegli na ulicę szukać

Bernardiego, inni uważali, że trzeba go zostawić w spokoju. W końcu jeden po drugim wracali za scenę. Drugi akt miał prowadzić asystent inspicjenta.

Luther, który wyszedł z portierni, żeby sprawdzić, co się dzieje, stał teraz przed tablicą z kluczami i kręcił głową z niedowierzaniem.

- Dziwne - mruknął. - Zapomniał zostawić klucze. To mu się jeszcze nie zdarzyło.

- Nie zapomniał - szepnął Jupiter do Pete'a, kiedy już odeszli na bok.

- Czego?

- Nie zapomniał zostawić kluczy- i Jupiter z chytrym uśmieszkiem wyjął z kieszeni małe kółko z kluczami. - Wziąłem je, kiedy nikt nie widział. Musimy przeszukać pokój Bernardiego. Może znajdziemy dowód na jego udział w tej aferze. Jeśli nie, to i tak czegoś się dowiemy.

- Do ataku - uśmiechnął się Pete. - Nie ma co, sprytna z ciebie piłka.

Pete omiótł latarką pokój Bernardiego. Było już dobrze po północy, więc nikt nie widział, jak wkradali się do teatru.

- Słyszałeś? - szepnął nagle Pete.

- Tak. To serce ci bije tak mocno - zakpił Jupiter. - A teraz bądź łaskaw poświecić tutaj.

Snop przyćmionego światła padł na notatnik z napisem "Personel".

- John Everson, Scott Harris - czytał Jupiter. - Jest. Bruno Johansen...

- I co? - dopytywał się Pete, rozglądając się nerwowo.

- Zatrzymany za bójkę w barze - Jupiter zamknął zeszyt. - Nic tu nie ma. Jedyłą osobą z kryminalną przeszłością jest Luther. Miał wyrok. Wyszedł dzięki amnestii.

- Dobra, zmywamy się.

- Idziemy - Jupiter wsunął notatnik na miejsce i otworzył drzwi.

Potknął się o próg i omal nie upadł. Na szczęście w porę oparł się lewym ramieniem o framugę i jakoś zdołał złapać równowagę. Przekradli się piwnicą do wyjścia na scenę. Pete szedł pierwszy i oświetlał drogę do schodów. Jupiter złapał się poręczy i nagle poczuł przeszywający ból w lewej ręce.

- Auuu - jęknął i zaczął drapać bolące miejsce.

- Co się stało? - odwrócił się spanikowany Pete.

- Nic. Coś mnie piecze.

Po przejściu kilku stopni musiał zatrzymać się znowu. Skóra piekła go coraz

bardziej. Wbił paznokcie w ramię, żeby sobie ulżyć.

- Piecze nie do wytrzymania.

- Jupe, to nie może być przypadek - Pete także przystanął.

Obaj myśleli o tym samym. Jupiter reagował tak, jak wcześniej David, garderobiany George'a.

Jupiter odtworzył w pamięci ich popołudniowe spotkanie z Bernardim. Wszyscy byli u George'a tuż przed przyjściem Davida. Nikt inny nie wchodził do garderoby.

- Coś mi się wydaje, że w papierowej torbie Bernardiego...

- ...wcale nie było prażonej kukurydzy - wpadł mu w słowo Pete.

- A ty nic nie czujesz?

- Nic.

- To znaczy, że proszek musiał być na framudze - Jupiter mimo wszystko wchodził na górę. - Bernardi mógł oprzeć się ręką w zatrutej już rękawiczce o drzwi...

Znowu rozległo się kilka przytłumionych uderzeń.

- Tym razem to nie jest moje serce - oznajmił Pete.

Jupiter wpatrywał się w ciemność.

- Tam! Z lewej strony sceny. Ruszamy!

Nie zachowując ostrożności, pobiegli w tamtym kierunku.

Źródłem hałasu był komputer Jima. Ale wokół nie było żywego ducha. Jedynym dowodem na czyjąś obecność był zapalony monitor. Pete oświetlił latarką scenę.

- Zgasić światło - odezwał się ktoś grubym głosem - bo pożałujecie!

- Rób, co mówi - polecił Jupiter z sercem w gardle.

Powoli obrócili się w stronę, z której dochodził głos. Światło padające z monitora odbiło się od kawałka metalu wystającego z rozcięcia kurtyny.

Ktoś mierzył do nich z pistoletu.

## ROZDZIAŁ 14

### FANTOM W SYSTEMIE OPERACYJNYM

- Ręce do góry i naprzód - zarządził głos.

Jupiter i Pete powoli posuwali się korytarzem. Przed sobą widzieli lekko uchylone drzwi do garderoby George'a.

- Wchodzić do środka. Plecami do ściany.

Jupiter pchnął drzwi nogą. W pokoju było ciemno, tylko mały zegar przy lustrze rzucał na ściany fioletową poświatę. Zatrzymali się, pilnie uważając na wieszak z kostiumami. Ręka paliła jak diabli.

Rozległ się pstryk i pokój zalało światło. Chłopcy stali, nieprzytomnie mrugając oczami.

- No proszę. Patrzcie państwo, kto to złapał się nam w pułapkę!

Jupiter odwrócił się. Tuż przy twarzy zobaczył pistolet kaliber 38, dalej - dwie wyciągnięte ręce, a jeszcze dalej - napięte ramiona Luthera Sharpe'a.

- Wiedziałem, że znam ten głos - nie wytrzymał i zaczął z furią drapać bolące miejsca.

- Nigdy nie zgadłbym, że to wy!

- Co my? - chłopcy wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Tylko mi się tu nie wypierać! - Luther rozzłościł się nie na żarty. - Złapałem was na gorącym uczynku. Widziałem, jak majstrujecie przy komputerze.

- Chwileczkę - krzyknął Pete. - To nie byliśmy my!

- Sam to powiesz policji - Luther przełożył broń do lewej ręki, a prawą zaczął nakręcać numer.

- Proszę bardzo - Jupiter nonszalancko wzruszył ramionami.

- Ale przy okazji powiem, że pan ma broń. O ile wiem, zwolnieni warunkowo przestępcy nie mogą posiadać żadnej broni. Ciekawe, jak pan będzie się im tłumaczyć.

Upewnił się, że jego słowa wywarły zamierzony efekt, i opuścił ręce. Potem podszedł do zlewu i odkręcił kran.

- Wybaczcie - powiedział i zawinął rękaw koszuli.

Luther znieruchomiał z palcem na tarczy telefonu.

- Skąd wiecie o moim warunkowym zwolnieniu?

- Czy to znaczy, że miałem rację i broń jest nielegalna? - Jupiter westchnął z ulgą, kiedy zimna woda spływała mu po ręce, i uśmiechnął się słodko do portiera.

- Dobra - Luther opuścił pistolet. -Wygraliście. Zabierajcie się stąd zaraz.

- Chwileczkę. Nie tak szybko - przypuścił atak Pete. - A co pan robił o tej porze w pobliżu komputera?

- Ja tu pracuję, chłopaczku, w razie gdybyś o tym zapomniał. Sześć dni w tygodniu plus nocna zmiana raz na tydzień. Siedziałem właśnie za sceną z prawej strony i chyba przysnąłem. Kiedy otworzyłem oczy, obok komputera ktoś się kręcił. Monitor był włączony...

- Zaraz, zaraz. Proszę dokładnie opisać, jak wyglądał ten ktoś - przerwał Jupiter.

Luther z namysłem obserwował Pete'a.

- Jak o tym teraz myślę, widzę, że to nie mógł być żaden z was. Tamten nie był taki wysoki. Poza tym, był szczupły - dodał patrząc na Jupitera. - Całkiem niepodobny do ciebie.

Jupiter puścił uwagę mimo uszu, ale automatycznie wciągnął brzuch.

- Macie mnie w garści - ciągnął Luther. - Nie mogę nikomu powiedzieć, że was złapałem, bo wy wygadacie swoje i cofną mi warunkowe zwolnienie. A mnie bardzo zależy na tej pracy i na tym teatrze. Możecie mi chyba powiedzieć, co tu robicie. Na moje wyczucie, nie jesteście zwykłymi kumplami George'a.

Chłopcy wymienili niepewne spojrzenia. Po chwili Jupiter odezwał się poważnym tonem:

- Panie Sharpe, to, co teraz powiem, musi pozostać sekretem. Proszę nam obiecać...

- Znaczący, chłopaki, że wy jesteście tymi detektywami - Lutherowi błysnęły oczy. Jupiter stał z otwartymi ustami i całkowicie zaskoczony drapał się w rękę.

- Kto panu powiedział? - wyjąkał Pete.

- Nikt mi nie powiedział. Było w dzisiejszej gazecie.

- Niemożliwe!

- Jasne, że tak! - Luther sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął popularną popołudniówkę. - Proszę - pokazał palcem i przeczytał: - *Jak dowiadujemy się z zaufanych źródeł, dwaj prywatni detektywi prowadzą śledztwo w teatrze Garbera. Mają rozwiązać tajemnicę dziwnych wypadków, które przydarzają się tam od jakiegoś czasu.*

Przyjrzał się im uważnie.

- A my wszyscy zachodziliśmy w głowę, kto to może być. Niektórzy nawet nie

wierzyli w cały ten rumor. Nikt nie wpadł, że to ktoś z obsady.

- Moje gratulacje - Jupiter nie dawał po sobie poznać, że rewelacje Luthera wytrąciły go z równowagi. - Myślę, że się rozumiemy. To musi pozostać tajemnicą.

- Na mnie można liczyć! Cieszę się, chłopaki, że tu jesteście.

- A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, wracamy do pracy - Jupiter wytarł mokrą rękę o dżinsy i razem z Pete'em wymaszerowali z garderoby.

Luther zamknął się u siebie, a oni podeszli do komputera. Na monitorze wyświetlona była lista kodów. Pasek menu ustawiono na trybie Edycja.

- Nic z tego nie rozumiem - mruknął Pete. - Równie dobrze mogłoby to być napisane po grecku.

- Będziemy mieć grecką tragedię, jeśli nie odkryjemy, co zostało zmienione.

- Lepiej powiedz, że spełni się klątwa Makbeta - powiedział ponuro Pete.

- Nie pora teraz na przesady. Potrzebny nam dowód.

- Jak chcesz go zdobyć? Tu są tylko numery i niezrozumiałe symbole. Miną wieki, zanim zrozumiesz, co one oznaczają.

- To nie jest potrzebne - Jupiter przeglądał klawisze funkcji u dołu ekranu. - Jest. F8 - powtórz ostatnią czynność. To powinno nam coś wyjaśnić.

I rzeczywiście. Po naciśnięciu klawisza jeden z kodów zniknął. Potem ekran przewinał się kilka razy. Kolejny kod zniknął, a na jego miejscu pojawił się ten pierwszy.

- No proszę! - wykrzyknął Pete. - Dwa polecenia zostały zmienione. Ciekawe, czy to ma spowodować następny wypadek?

- Możliwe. Ale pamiętaj, że widzimy tylko ostatnie polecenie. Równie dobrze ktoś mógł zacierać ślady swojej dawnej działalności. Wyrzucał fałszywe kody, wprowadzone poprzednio.

Jupiter przebierał palcami po klawiaturze.

- Na wszelki wypadek wyjdę z tego bez zachowywania. W ten sposób żadna dzisiejsza zmiana nie zostanie zapamiętana.

Po chwili byli gotowi do wyjścia. Czekał ich jeszcze spacer do ciężarówki, którą zaparkowali parę przecznic dalej, żeby uniknąć podejrzeń. Ramię Jupitera wróciło do normy - wszystko dzięki zimnej wodzie. Poza tym na framudze musiała znajdować się minimalna dawka alergizującej substancji.

- Jak, do diabła, dowiedział się o nas ten cholerny brukowiec? - zastanawiał się Pete. - Co powiemy George'owi? Przecież obiecaliśmy mu trzymać całą operację w



tajemnicy.

- Może to właśnie George puścił wiadomość do prasy? - skrzywił się Jupiter.

- Ee, nie. Przecież by nam powiedział.

- Mógł nie chcieć. Może on też jest wpłątany w sprawę? Pomyśl o jego kontrakcie. Płacą mu tak długo, jak długo przedstawienie utrzymuje się na afiszu. Nawet gdyby go wywalili, siedzi w domu i inkasuje forszę.

- Racja - przyznał Pete. - Ale sam wiesz, że George lubi być tam, gdzie się coś dzieje. Nie wyobrażam go sobie, jak siedzi w domu...

- Teraz musimy odkryć, kto grzebie w komputerze - zamyślił się Jupiter.

- Wszystko wskazuje na Bernardiego.

- Tak, ale Bernardi nie musi robić tego w środku nocy. Nikt nie zwróciłby uwagi, gdyby wprowadzał zmiany w dzień - i tak siedzi przy komputerze prawie przez cały czas. Zresztą, powiedział mi kiedyś, że nie ma pojęcia o programowaniu.

- Jasne. No i nie jest ani niski, ani chudy.

Jupiter przystanął.

- Czy znamy kogoś, kto jest niski i chudy, i zna się na komputerach?

Pete wzruszył ramionami.

- Dobra, spróbujmy inaczej - nie poddawał się Jupiter. - Kto w ogóle zna się trochę na programowaniu? Poza fachowcami - niektórzy pisarze...

- Studenci, muzycy...

- Muzycy? - Jupiter aż zeszywniał, kiedy to usłyszał.

- Tak. Pamiętasz, co Bob opowiada o tych facetach? Dzięki syntezatorom mogą zaprojektować sobie dźwięk dowolnego instrumentu albo zaprogramować podkład rytmiczny bębnow i różne tam takie.

- Pamiętam. A teraz przypomnij sobie, o kim Bob mówi najczęściej. Ten człowiek siedział bardzo blisko miotacza dymu, kiedy nastąpiła eksplozja, i wyszedł z tego bez najmniejszego zadrapania.

- Tak... - rozpromienił się Pete.

- Pete, myślę, że duch Szekspira to nikt inny tylko Buzz Newman.

## ROZDZIAŁ 15

### NARODZINY GWIAZDY

Promienie porannego słońca wpadały do samochodu, gdy Jupiter wjeżdżał na parking przed teatrem Garbera.

- Nie mogę w to uwierzyć. No, nie mogę! - Pete popijał kawę ze styropianowego kubka. - Dzisiaj występujemy. Jak to możliwe? Słuchaj, czy to normalne, żeby angażować ludzi w czwartek, a w sobotę pchać ich na scenę?

Jupiter ziewnął szeroko.

- Nie myślę, żeby mieli inne wyjście. Premiera w przyszłym tygodniu. Muszą szybko wprowadzić nowe numery. Dlatego próby trwały po dwanaście godzin dziennie.

- Na domiar złego obudzili nas o świcie, żeby nam to oznajmić - Pete przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy.

- Już nie przesadzaj. Tylko przypominali. Podejrzewam, że byli pewni, że od dawna już jesteśmy na nogach. Zresztą przez dwa ostatnie dni też wstawaliśmy wcześniej, żeby zdążyć na próby.

- Wiem, ale liczyłem, że dzisiaj trochę pośpię.

- I tak spałeś dłużej niż ja. Pamiętaj, że skoro świt byłem już u Boba.

- Musiał być zachwycony, że o tej porze zacznie dzień. Przecież on nie pojawia się w domu przed północą.

- Jakbyś zgadł. Wrócił o trzeciej nad ranem. Tym razem nie był na randce z którąś z dziewczyn z jego haremu. Przyjechał właśnie z San Francisco. Kiedy powiedziałem mu o naszych podejrzaniach, natychmiast się zbudził. Ustaliliśmy, że umówi się z Buzzem dziś po próbie i spróbuje jakoś go podejść. Może coś z niego wyciągnie?

Szli znajomym korytarzem za sceną. Zza czarnej kotary zasłaniającej stanowisko Jima Bernardiego dobiegało miarowe stukanie w klawisze.

- Cześć, Jimbo - krzyknął Pete. - Już jesteśmy! Trochę za wcześniej, ale za to w pełnej gotowości.

Stukanie ucichło, ale nie doczekali się żadnej odpowiedzi.

- Jim? - Jupiter podszedł bliżej i odsłonił zasłonkę.

- Ciii! - usłyszeli i George Brandon odwrócił się do nich z palcem na ustach. - Jim mnie zabije, jeśli się dowie, że majstrowałem przy jego komputerze.

- Co tu robisz? - Jupiter zniżył głos.

George wziął do ręki duży skoroszyt z wpinanymi kartkami.

- Tu jest spis wszystkich kodów. Jim zrobił go dawno temu, a teraz tylko nanosi zmiany. Trzyma to na półce pod monitorem. Rozejrzył się na obie strony i dodał cicho:

- Sprawdzalem spis z tym, co jest w komputerze. Prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewien, czy Jim jest niewinny.

- Skoro tak - Pete z trudem hamował złość - to dlaczego wcześniej...

- Spokojnie, Pete.

Wprawdzie Jupiter uspokajał kolegę, ale sam podzielał jego stan ducha. To oni mieli prowadzić śledztwo na prośbę George'a.

- George - zaczął poważnie - sprawa jest delikatna. Jeśli próbujesz coś robić na własną rękę, możesz zepsuć nam wszystko. Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej o tym skoroszycie?

- Próbowałem. Przypomniałem sobie o jego istnieniu dopiero dzisiaj w nocy i natychmiast zadzwoniłem do ciebie. Zostawiłem wiadomość na sekretarce. Nie zauważyłeś?

Jupiter pokręcił głową. Widocznie maszyna w Kwaterze Głównej znowu się zacięła.

- No więc - ciągnął George - postanowiłem tu przyjść całkiem rano, jeszcze przed Jimem. Powiedziałbym wam później. Przecież wiem, że wy tu rządzą. Po prostu starałem się wam pomóc.

- Znalazłeś coś?

- No, nie - George zawahał się przez króciutką chwilę. - Nie, jeszcze nie. Ale wciąż szukam.

Jupiter nie był do końca przekonany. Historia niezbyt trzymała się kupy, a sam George był za bardzo spięty. Ukrywał coś przed nimi, to pewne. Tylko co?

Z korytarza dobiegł gwar głosów i George szybko wyłączył komputer i odłożył zeszyt na miejsce.

- Czy wszyscy już są? - Jim Bernardi wszedł na scenę, a za nim de Jomb, Craig Jacobs i grupa tancerzy.

- Prawie - Jupiter szybko przeliczył obecnych. - Brakuje dwóch osób.

- No to zaczynamy. Pete, przygotuj się do japońskiego numeru z parawanami. Mam zamiar zrobić dziś z ciebie gwiazdę - zaśmiał się Bernardi.

Pete i Jupiter wymienili szybkie spojrzenia. Zapowiadał się długi dzień.

Próba była niesamowita. Pete nigdy nie podejrzewał siebie o taką energię. Mimo rad deJomba, żeby się oszczędzać przed wieczornym przedstawieniem, nie zwolnił tempa ani na chwilę. Wysoko migwały jego stopy, a ciosy zaciśniętych pięści przebijały powietrze z wielką szybkością.

Dopiero po zakończonym występie wyciszył się i niewiele mówił aż do początku spektaklu. Pierwszy akt oglądał zza sceny. Dopiero po przerwie poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego.

Powinien się śmiać. Ze swego miejsca doskonale widział całą scenę na plaży. Jupiter, w nadmuchanym kostiumie w kolorowe pasy, podskakiwał tu i tam, próbując zachować godną minę.

Bęc! I Jupiter wbił George'a w aktora przebranego za ogromny kosz na śmieci. Hop! George odbił piłkę i Jupiter potoczył się w kierunku plażowego parasola, który patrzył ludzkimi oczami.

Jupiter był czerwony z wysiłku i ze wstydu. Publiczność zaśmiewała się do rozpuku. Najwyraźniej podobał się im nowy numer.

Tymczasem Pete czuł, jak ogarnia go przerażenie. Wydawało się, że ktoś zarzuca mu na głowę czarną płachtę i odbiera ostatni łyk powietrza. Miał nadzieję, że plażowa scena nigdy się nie skończy.

Niestety. Jupiter z triumfującą miną wyskoczył za kulisy. Pete poklepał go po ramieniu, ledwo zdając sobie sprawę, co robi. Stali obaj nic nie mówiąc, aż rozległy się pierwsze takty "Kyoto con Moto".

Pete zeszywniał.

- Jupe! Nie mogę. Nie mogę tam wyjść!

Puls walił mu jak szalony. Był pewien, że jego koszula unosi się na piersiach w rytm uderzeń serca. Dłonie miał mokre od potu. Nie mógł opanować drżenia kolan.

- Chyba dzieje się ze mną coś złego - szepnął. Jupiter uśmiechnął się, plastikowy kostium wybrzuszył się niebezpiecznie, kiedy próbował poklepać przyjaciela po ramieniu.

- Od wieków ta choroba nazywana jest tremą - powiedział. - Mogę cię zapewnić, że znika w tej samej sekundzie, w której stajesz przed publicznością.

- Publicznością?

To słowo uderzyło go z siłą maszyny parowej. Tam są ludzie, myślał spanikowany. Kelly. Bob. Wszyscy zapłacili mnóstwo forsy. Co będzie, jeśli wyjdą,

kiedy on wejdzie na scenę? Co będzie, jeśli zażądam zwrotu pieniędzy za bilety?

- Nie przejmuj się - powiedział twardo Jupiter. - Skoro nikt nie wyszedł, kiedy poniżalem się przed nimi jako element sprzętu rekreacyjnego, to znaczy, że postanowili zostać. Możesz mi zaufać. Wiem, co mówię.

Wbrew sobie Pete uśmiechnął się.

- Sam widzisz - przynajmniej przez chwilę nie myślałeś o tym, że teraz twoja kolej.

- Co!?! - Pete głośno przełknął ślinę.

I rzeczywiście. Zabrzmiały pierwsze takty stylizowanej na japońską muzyki, od której zaczynał się jego taniec. Zabłyśły światła. Inni tancerze byli już na scenie. Ich cienie rysowały się na wielkich parawanach.

Gdzieś w głębi czaszki usłyszał rumor, jakby nad boiskiem odezwało się naraz kilka skrzeczących głośników:

- "Drużyna Rocky Beach straciła punkt. Do gry wchodzi Crenshaw".

Potem rozległ się ryk setek kibiców, którzy skoczyli na równe nogi, wykrzykując jego imię.

Złapał oddech. Krew w żyłach znów zaczęła płynąć, rzeczy nabrały normalnych kształtów. Był gotowy.

Tancerze powoli przesuwali się na boki, tak by zostawić mu pusty środek.

Wziął głęboki oddech, gdzieś z trzewi wydobył głośny okrzyk kiai i jednym susem znalazł się na scenie.

Przez następne kilka minut nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Od czasu do czasu widział swoje wyrzucone wysoko w powietrze nogi. Niekiedy migały mu przed oczami deski sceny, coraz bliższe w chwilach lądowania po saltach.

Zespolił się z muzyką. Nie miał czasu bać się, że - tak jak kiedyś - scena obrotowa ruszy dokładnie w chwili podskoku.

Potem było po wszystkim. Nagle i niespodziewanie. I Pete wcale nie był pewien, czy naprawdę słyszy burzę braw. Z trudem dotarły do niego słowa Bernardiego:

- Dobra robota!

Co było potem, pamiętał jak przez mgłę. Z wyjątkiem ukłonów. Był absolutnie pewien, że publiczność urządziła mu stojącą owację.

- Łuu! - wrzeszczał Pete przez okno samochodu.

- Bądź cicho - chichotała przytulona do niego Kelly.

Ludzie na parkingu ze zdziwieniem przyglądali się ruszającej ciężarówce.

- Pete, jesteś teraz gwiazdą - śmiał się Jupiter. - Zachowuj się jak na gwiazdę przystało.

- Mam to w nosie! - ryknął Pete. - Robimy balangę! Trzeba znaleźć dobrego rocka - zaczął manipulować przy radiu.

Muzyka klasyczna... sport... wiadomości.

Skrzywił się z niechęcią.

- Gdyby Bob pojechał z nami, mielibyśmy dobre kasety. Dlaczego musiał dłużej zostać z muzykami? Nie rozumiem.

- Powiedział, że dołączy do nas, jak tylko będzie mógł. Hej, czekaj. Zostaw ostatnią stację.

- Daj spokój, Jupe. Możesz posłuchać wiadomości kiedy indziej!

- Usłyszałem głos George'a! - wyjaśnił Jupiter. - To chyba jakiś nagrany wcześniej wywiad.

Pete odszukał stację. Reporter jedwabście słodkim głosem mówił właśnie:

- Jak rozumiem, George, pomimo prześladowającego was na początku pecha, wszystko dobrze się skończyło. "Variety" donosi, że bilety na "Niebezpieczną strefę" są wyprzedane z wielkim wyprzedzeniem. Nigdy jeszcze w historii teatru Garbera nie zdarzył się podobny sukces!

- Masz rację, Dan - teraz słuchali kipiącego entuzjazmem głosu George'a. - I pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu bałem się, że stracę pracę. Że nie wspomnę o własnym życiu.

- Życie umie sprawiać niespodzianki - mówił dziennikarz. - Nie tak dawno temu mówiło się, że Matt Grant ma przejąć twoją rolę, a teraz to ty wybierasz się na Broadway. Masz wielką przyszłość przed sobą.

- Myślę, że stary Willy Szekspir zdjął ze mnie klątwę.

Jupiter pokręcił głową.

- George zachowuje się tak, jakby nic mu już nie groziło.

Nagle wszystko stało się jasne. Jupiter zahamował gwałtownie.

- Już rozumiem! - krzyknął.

Nagle rozległ się pisk opon. Jakiś samochód zatrzymał się tuż za nimi.

- Co ten dureń robi? Przecież swobodnie mógł nas wyprzedzić! - zawołał Pete.

Alę Jupiter wiedział, co się dzieje.

- Ktoś nas śledzi. Teraz uwaga, trzymajcie się mocno. To będzie jazda, której

nigdy nie zapomnicie.

## ROZDZIAŁ 16

### ZA MNA!

Jupiter wcisnął pedał gazu i stara ciężarówka wyrwała do przodu. Gdy zahaczając o krawężnik skręcili w najbliższą przecznicę, Pete wyrznął głową w dach.

- Auu! - krzyknął. - Co ty robisz? Przecież jutro gram. Muszę jakoś wyglądać!

- Pete, to już nie są żarty! - warknął Jupiter.

Spojrzał w lusterko - ten sam sportowy samochód, który wcześniej omal w nich nie wjechał, wyłaniał się zza rogu. Kelly odwróciła się do tyłu.

- Ju...Jupiter ma rację - wyjąkała z oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

- Może chcę mój autograf - próbował jeszcze dowcipkować Pete, ale i on zrozumiał, że coś jest nie tak.

Jupiter błyskawicznie przekręcił kierownicę w lewo. Weszli w zakręt na dwóch kołach. Kelly wrzasnęła.

- Dokąd jedziemy, Jupe? - zawołał Pete.

- Nie wiem!

Ciężarówka podskoczyła na wyboju. Pete złapał się za głowę - o sekundę za późno.

- Trzeba zjechać z ulicy. Oni mają szybszy samochód!

Nagle rozległ się suchy odgłos strzałów.

- Na ziemię! - Pete pociągnął za sobą Kelly.

Jupiter instynktownie odchylił się w bok. Nie damy rady, pomyślał. Tamci zaraz nas dogonią.

Nie mieli dokąd uciec. Po lewej stronie ciągnął się mur klubu golfowego, osłonięty wysokimi drzewami. Wydawało się, że nigdy się nie kończy. Po prawej też nie było żadnej przecznicy, tylko wielki budynek centrum handlowego, teraz ciemny i pusty. Gdzieś w połowie jego długości zauważyli, zgaszony w tej chwili, napis "Parking". Wjazd zagrodzony był pasiastym szlabanem.

Jupiter skręcił gwałtownie i skierował się w stronę szlabanu. Żółte litery, tworzące słowo "Zamknięte", zbliżały się do nich w zawrotnym tempie.

- Co robisz, Jupe! - pisnęła Kelly z podłogi i ukryła twarz w dłoniach.

Rozległ się łoskot pękającego drewna, posypały się kawałki połamanych desek. Jupiter przyspieszył i zaczął wjeżdżać na górę.

- Na czwartym piętrze jest dobra księgarnia - rzucił przez ramię.



- Zachowaj żarty na później - nie wytrzymał Pete.

Kelly ostrożnie wyjrzała przez szybę.

- Jupe, tu nie ma gdzie uciec. Złapią nas, jak nic!

- Może uda się ich zgubić na którymś z poziomów - Jupiter wjeżdżał wyżej i wyżej po spiralnej rampie.

Minęli namalowaną na ścianie cyfrę sześć i nagle znaleźli się na dachu budynku. Przed ich oczami rozciągał się pusty prostokąt czarnego asfaltu, podzielony białymi liniami na równe pola. Po lewej stronie znajdowała się mała, oszklona winda, a tuż za nią klatka schodowa prowadząca na niższe poziomy.

Zwalniając na chwilę, Jupiter spojrział we wsteczne lusterko. Wjazd za ich plecami wyglądał jak ciemna dziura. Słysząc było tylko warkot ich silnika. Czy to możliwe, że byli sami?

- Chyba ich zgubiliśmy - powiedział.

- I co teraz? - zapytał Pete. - Skaczymy z dachu wprost na jezdnię?

Rozejrzeli się dokoła. Po przeciwległej stronie dachu był wyjazd. Bez wahania skierowali się w tamtą stronę.

I wtedy gdzieś w dole korytarza rozbłysło światło.

- To oni - jęknęła Kelly.

Jupiter wdepnął pedał hamulca. Opony zapiszczały na asfalcie.

Pete podskoczył.

- Sprzęgło! - wrzasnął.

Za późno. Silnik zakrztusił się, prychnął i zgasł.

- Dzięki, Pete. - Jupiter sięgnął do stacyjki, żeby uruchomić samochód.

Dwa błyszczące koła, jak oczy wielkiego węża, pojawiły w dziurze wyjazdu.

Przekreślił kluczyk. Rrrr... - i nic. Silnik odmówił posłuszeństwa. Spróbował jeszcze raz. Rrrr... To samo.

- Uciekajmy stąd - wrzasnął Pete.

Otworzył drzwi i pociągając za sobą Kelly wyskoczył z auta. Jupiter poszedł w ich ślady. Co sił w nogach pognali do schodów. W świetle ścigających ich reflektorów rysowały się trzy groteskowo zniekształcone cienie z maleńkimi głowami i długim torsem.

Jeszcze tylko parę kroków do drzwi. Uda się!

Wtedy sportowy samochód wykonał gwałtowny skręt w prawo i przejechał im tuż przed nosem. Szarpnęło nim, kiedy wjeżdżał na chodnik, żeby zablokować wejście

na schody.

- Mam broń i zamierzam jej użyć! - powiedział ktoś grubym głosem.

Drzwi z obu stron otworzyły się. Przed nimi stało dwóch mężczyzn w czarnych kominiarkach. Kierowca uniósł pistolet.

Jupiter podniósł ręce. Z ulgą zobaczył, że Pete i Kelly zrobili to samo.

- Kim jesteście? - Pete próbował zyskać na czasie.

- Ruszać się - usłyszał tylko i mężczyzna pokazał lufą ceglany murek okalający dach.

- Chyba nie macie zamiaru... - Jupiter poczuł skurcz żołądka.

- Ruszać się! - usłyszeli jeszcze raz. - Ty też nie stój - rzucił przez ramię kierowca do swojego towarzysza - tylko zajmij się ciężarówką.

Mimo paniki Jupiter uświadomił sobie, że facet mówi nienaturalnym głosem.

Drugi mężczyzna zawahał się, potem podszedł do sportowego auta i wyciągnął pełną butelkę jakiegoś alkoholu. Dodał do tego dwie mniejsze i ruszył do ciężarówki.

- Co macie zamiar zrobić? - wyjąkał Jupiter. - To samochód mojego wuja!

Bandyta z pistoletem zaśmiał się złośliwie.

- Już to słyszę - powiedział. - Podajemy wiadomości z ostatniej chwili. Troje nastolatków: młodociany tancerz, jego dziewczyna i statysta od ogonów zginęli w wypadku samochodowym. Nieodpowiedzialna jazda po pijanemu cudzym samochodem zakończyła się upadkiem z dachu parkingu...

- Po pijanemu! - zdenerwował się Jupiter. - My nigdy...

Przerwał. Osłupiały patrzył, jak drugi mężczyzna wylewa zawartość butelek na siedzenia ulubionej ciężarówki wuja Tytusa.

- Nie rób tego - wrzasnął. - Nie wolno!

- Jasne, że nie wolno - zgodził się ten z pistoletem i krzyknął do swojego kompana: - Dosyć! Potrzebujemy jeszcze trochę dla dzieciaków. Trzeba podnieść im poziom alkoholu we krwi.

Tamten cisnął dwie butelki na siedzenie i zbliżył się z trzecią, ledwie napoczętą.

Pete dostał ataku furii.

- Parszywe gnojki - krzyknął i rzucił się na nich z pięściami.

- Nie, Pete! - Jupiter był przerażony.

- Lepiej słuchaj kolegi, chłoptasiu - kierowca wycelował broń w Pete'a, który cofnął się o krok. - Wypij, to później nie będzie bolało.

Odkręcił butelkę i podszedł to Pete'a.

- Szeroko buzia! Grzeczny Bruce Lee - powiedział.

- Pete! - jęknęła Kelly prosząco.

Trzęsąc się z wściekłości, Pete zacisnął zęby. Przenosił niepewny wzrok z butelki na pistolet. Potem powoli otworzył usta.

W tej chwili rozległ się niespodziewany warkot silnika.

- Co, do diabła... - zaczął bandyta i spojrzał do tyłu.

I wtedy Kelly podniosła rękę i celnie co do milimetra walnęła go w spłot słoneczny. Zachwiał się, kompletnie zaskoczony, i krzyknął z bólu. Pistolet wyleciał mu z dłoni.

Pete wyćwiczonym ruchem bramkarza rzucił się, by złapać spadającą broń.

- Nie warto! - usłyszał wołanie Jupitera.

Podniósł głowę i zobaczył, że obaj mężczyźni wskakują do samochodu. Jupiter i Kelly uczepili się drzwiczek, ale musieli puścić, kiedy tamci przyspieszyli.

Dźwięk silnika był coraz bliższy. W tunelu pokazał się czerwony volkswagen garbus.

- To Bob! - wykrzyknął zaskoczony Jupiter.

Tymczasem sportowy samochód zrobił nagły zwrot. Najwyraźniej zmierzał do rampy wjazdowej. Bob zahamował, żeby zawrócić. W tej samej chwili Jupiter, Pete i Kelly wskoczyli do ciężarówki, która - cudem - zapaliła od razu. Minęli volkswagena i wjechali w tunel, w którym zniknęli bandyci.

- Tu jest napisane "Wyjazd wzbroniony" - przeczytała Kelly. - Czy to znaczy...

- Teraz nie będziemy się tym martwić! - przerwał jej Pete.

Jupitera omal nie zemdlilo, kiedy poczuł odór alkoholu wewnątrz auta. Próbował nie myśleć o reakcji wuja Tytusa, który bez wątpienia dozna szoku, gdy wsiądzie do środka.

Musiał jednak teraz skupić się na jeździe. Korytarz schodził w dół stromą spiralą. Samochód ocierał się o gumowe zabezpieczenia na ścianach. Dystans między nim a uciekającymi mężczyznami powiększał się.

Dotarli na dół. Przed nimi ciągnął się ostatni, prosty odcinek drogi ograniczonej z obu stron wysoką na kilkadziesiąt centymetrów bandą. W oddali widniał duży, czerwony napis "Nie ma wyjazdu". Za nim była ulica.

- Uda się im! - Pete ze złością walnął pięścią w deskę rozdzielczą.

- Nie uda się - Jupiter niespodzianie zdjął nogę z gazu.

Rozległ się przeraźliwy pisk opon. Uciekający samochód gwałtownie

podskoczył. Zarzuciło go ostro w prawo, potem w lewo. Z całym impetem wpadł na krawężnik. Siła uderzenia była tak wielka, że stanął prawie pionowo, z maską wysoko w górze. Potem z hukiem miażdżonej karoserii zawisnął na bandzie. Przez otwarte drzwi obaj pasażerowie wylecieli w powietrze i upadli na chodnik.

Jupiter zahamował tuż przed leżącymi nieruchomo postaciami. Sportowy samochód przypominał teraz szczątki gigantycznej huśtawki. Dosłownie kilka kroków dalej znajdował się wyjazd na ulicę, na całej szerokości najeżony ostrym i, metalowymi kolcami, które wyglądały jak rząd mieczy gotowych do walki. Bandyci robili wszystko, żeby się na nie nie nadziać.

- Nie znośm tego urzędzenia - powiedział Pete. - Po tym wszystkim chyba zmienię zdanie.

Jupiter pierwszy wyskoczył z ciężarówki. Pete i Kelly pognali za nim. Potem rozległ się trzask drzwiczek volkswagena - Bob też był na miejscu.

Pochylili się wszyscy nad leżącymi nieruchomo ciałami. Jupiter uklęknął, żeby ściągnąć maskę jednemu z nich. Mieli przed sobą twarz Vica Hamilla.

W tym samym czasie Bob zdjął kominiarkę z głowy kierowcy.

Był to Jim Bernardi.

## ROZDZIAŁ 17

### SKOŃCZONA GRA

Kelly patrzyła na to szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

- Czy oni nie żyją? - wyjąkała.

Jupiter przyłożył im dłoń do szyi, żeby sprawdzić puls.

- Żyj! - powiedział. - Ale nie będzie im łatwo, kiedy się ockną.

- Dzwonię po karetkę - Pete pognął do automatu, który wisiał na ścianie obok wejścia.

- To obrzydliwe - Kelly usiadła na chodniku - Vic zawsze wydawał mi się trochę podejrzany, ale żeby Jim Bernardi! Taki miły facet.

- Nie zdążyłem powiedzieć wam, co odkryłem. To nie są jedyni ludzie wmieszani w sprawę - odezwał się Bob. - Miałeś rację, Jupe. Udało mi się pogrzebać w garderobie muzyków. Patrzcie, co znalazłem w szafce Buzza - z kieszeni kurtki wyciągnął kopertę i wręczył ją Jupiterowi.

W środku była złożona kartka papieru zadrukowana instrukcjami i rzędami cyfr.

- O rany! Spis sygnałów i odpowiadające im kody! Tu jest wszystko, nawet te, które zostały zmienione poprzedniej nocy.

- Ale dlaczego Buzz? - dziwiła się Kelly. - Co na tym zyska?

Jupiter zwinął uważnie papier i włożył do kieszeni.

- Została nam jedna rzecz do zrobienia. Musimy jeszcze namierzyć szefa całej szajki - powiedział.

Wrócił Pete z informacją, że karetka jest w drodze.

- Coś mi się wydaje, Jupe, że już wiesz, kto za tym stoi - Bob przyjrzał się uważnie przyjacielowi.

- Jak dotąd, zamachy na życie George'a przyniosły korzyść jednej, jedynej osobie - tu Jupiter przerwał, żeby wzmocnić efekt.

Przez chwilę rozkoszował się zaskoczonymi minami kolegów.

- Komu? - nie wytrzymał Pete.

- Pozwólcie, że zacznę wyjaśnienia od początku - ciągnął poważnie Jupiter. - Wszystko złożyło mi się w idealną całość, kiedy w samochodzie usłyszałem ostatni wywiad George'a. Pamiętacie, chwalił się ilością sprzedanych biletów i powodzeniem "Niebezpiecznej strefy". W pewnej chwili chlapnął, że jeszcze niedawno martwił się, że

straci pracę. A wylaliby go, gdyby musical zrobił klapę.

- Już "U Buda" mówił, że sukces w Los Angeles może otworzyć mu drogę na Broadway, co oznacza role w filmach, sławę i pieniądze - przypomniała Kelly.

- A sława i pieniądze są najważniejszą rzeczą w życiu George'a Brandona. Wystarczyło zobaczyć przechwałki na ścianach jego garderoby, żeby się o tym przekonać. Po to zatrudnił osobę, która tworzy jego wizerunek dla prasy. Podczas kłótni z Firestonem stosował chwyt poniżej pasa, byle tylko zatrzymać rolę.

- Każdy wie, że ten facet ma fioła na swoim punkcie - przerwał Pete. - Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Zanim w teatrze zaczęły dziać się dziwne rzeczy, mówiło się, że musical schodzi z afisza jeszcze przed oficjalną premierą. A tu nagle, w ciągu niespełna dwóch tygodni, wszystko się zmieniło. Wielki sukces, publiczność wali drzwiami i oknami. I skąd ta zmiana?

- Wiadomo - wzruszył ramionami Pete. - Szum w prasie.

- Właśnie tak - zgodził się Jupiter. - Prasa robi wielki szum, ile razy w teatrze Garbera coś się dzieje. Nawet wtedy, gdy na miejscu nie ma żadnego reportera.

- A to znaczy - odezwał się w końcu Bob - że jest ktoś, kto przekupuje ludzi od reklamy albo dziennikarzy.

Jupiter kiwnął głową.

- Ktoś, kto wie, że tylko reklama w mediach uchroni go przed utratą pracy.

- George! - wyjąkał Pete.

- Wyobraźcie to sobie. Młody aktor dostaje rolę w przedstawieniu, które być może wkrótce stanie się prawdziwym hitem. Na taką szansę czekasz całe życie. Nagle robisz coś głupiego i sprzedaż biletów spada. Sytuacja jest nieciekawa. Albo cię zwolnią, albo zamkną teatr. Jak by nie było - ty i tak kończysz na bruku. Szukasz pracy razem z setkami innych bezrobotnych aktorów. Jaka jest na to rada?

- Zawsze można zostać mechanikiem samochodowym - oznajmił Pete.

- Robisz coś - Jupiter nie zwracał uwagi na Pete'a - żeby ludzie uwierzyli, że jesteś absolutnie niezbędny. Wszyscy wiemy, że ludzie przychodzą na "Niebezpieczną strefę" licząc, że będą świadkami kolejnego wypadku.

- To brzmi sensownie - zgodził się Pete.

- Nieprawda! - wykrzyknęła Kelly. - Nie wierzę, żeby George'owi chciało się narażać własne życie.

- Nie narażał! - odpowiedział Jupiter. - Przecież nie mamy żadnego dowodu na

telefony, o których była mowa. Nigdy nie zobaczyliśmy listów z pogrózkami. George oznajmił, że je wyrzucił, ale założył się, że one nie istniały. A co do wypadków - pomagali mu eksperci. Dzięki nim był pewien, że tak naprawdę nic poważnego mu się nie przydarzy. Przypomnijcie sobie tablicę nad wejściem do teatru, w gruncie rzeczy nie mogło mu się nic stać. Był za daleko.

- Racja! - Kelly klasnęła w dłonie. - A tablica spadła tuż przed nosem kamerzystów!

- To samo z eksplozją w kanale orkiestry - podniecał się Pete. - Wyglądała rzeczywiście groźnie. Tylko że wybuch nastąpił dokładnie wtedy, gdy George znalazł się poza jego zasięgiem.

- Buzz musiał czuwać nad uruchomieniem zapalnika w odpowiednim momencie - dorzucił Bob.

- Zgodnie ze wskazówkami Bernardiego - włączył się znów Jupiter. - A pamiętacie, jak weszliśmy do garderoby George'a zaraz potem? Właśnie opowiadał o całym zdarzeniu komuś o imieniu Ruthie. A jak nazywa się jego agentka od reklamy?

- Ruth Leslie! - teraz Pete przejął pałeczkę. - W ten sposób nowiny przeciekały do prasy. Już rozumiem, dlaczego Luther dowiedział się o nas z gazety. To sam George puścił w świat wiadomość o detektywach, których zatrudnił. Wykorzystał nas do własnych celów!

- Dokładnie tak - zgodził się Jupiter. - Wszystko wskazuje na to, że Buzz był odpowiedzialny za pomyłki komputera. Nocą wkradł się do teatru i zamieniał kody. Oczywiście z pełnym przyzwoleniem Bernardiego.

- A kiedy omal go nie nakryliśmy - spekulował Pete - zmienił go w tym George.

- Mogło też być tak, że tamtego ranka George tylko sprawdzał, co Buzz zrobił w nocy - powiedział Jupiter. - Przecież gdyby tego nie wiedział, mógłby naprawdę mieć wypadek!

- Z tego wynika, że złapaliście na gorącym uczynku i Buzza, i George'a - zauważył Bob. - Jeszcze chwila, a odkrylibyście prawdę. Nic dziwnego, że postanowili się was pozbyć.

- Zaraz, zaraz - Kelly nie mogła doczekać się, kiedy chłopcy dopuszczą ją do głosu. - A co z trującym proszkiem, którym posypano kostium George'a? A popiersie Szekspira?

Pete zastanowił się chwilę.

- Pamiętacie, jak to było? Bernardi wyszedł z garderoby z papierową torbą.

Twierdził, że ma w niej prażoną kukurydzę. Tymczasem tam trzymał proszek. Prawdopodobnie właśnie kończył wcierać go w kostium, kiedy się pojawiliśmy. A co się stało, kiedy chciałaś obejrzeć kostium z bliska? George stłukł lusterko, żeby odciągnąć naszą uwagę!

- A co do Szekspira - wyjaśnił Jupiter - to była robota George'a i Vica. Wymyślili wszystko, jadąc do Lovella. W samochodzie jedli słodkie bułki i dlatego popiersie było lepkie. George stracił popiersie, a Vic zgasił światło. Udało się im, bo wszyscy mieli zamknięte oczy.

- Sama nie wiem - Kelly nie wyglądała na przekonaną. - Siniak na czole George'a wyglądał paskudnie.

- No to jak wytłumaczysz fakt, że następnego dnia już go nie było? - zapytał Pete.

- Charakteryzacja! - wyjaśnił Jupiter. - George musiał mieć w kieszeni specjalną woskową szminkę, którą w odpowiedniej chwili wtarł w skórę.

- Zgoda. A co z obrotówką? Myślicie, że George chciał naprawdę zrobić krzywdę temu tancerzowi?

- To nie George, to Bernardi. On rządzi obrotówką.

- Wszystko pasuje - Kelly patrzyła na nich z uznaniem. - Nie rozumiem jednego. Dlaczego tamci pomagali George'owi?

- Vic trząsał się o pracę, zupełnie jak George - zaczął Jupiter. - Buzzowi bardzo zależało na forsie. O niczym innym nie mówił, kiedy odwiedził nas w Kwaterze Głównej. Nie zapominajcie jak trudno jest muzykowi i aktorowi znaleźć stałą pracę.

- Podobnie musi być z inspicjentami - zgadł Pete.

- Nie bardzo - Jupiter miał nieco niepewną minę. - Z tego, co mi wiadomo, inspicjenci są rozchwytywani. Przechodzą z pracy do pracy - przynajmniej ci uznani. A Bernardi musiał być dobry, skoro dostał pracę przy tak skomplikowanym spektaklu.

- Coś tu nie gra - zmarszczył brwi Pete. - Jeśli Bernardi myślał, że to George, po co włączał obrotówkę? Przecież cały plan polegał na tym, żeby George grał w tym przedstawieniu.

- Ale Bernardi musiał wiedzieć, że to nie George! Przecież od tego są inspicjenci -zawahała się Kelly.

- No to dlaczego ryzykował, że uszkodzi tamtego, i to tuż przed premierą? - pokręcił głową Bob. - Przecież nie znaleźliby zastępstwa tak szybko.

Wszyscy spojrzeli na Jupitera.



- Tego jeszcze nie wiem - odpowiedział Jupe z lekkim uśmiechem. - Ale zaraz sprawdzę. - I z najczystszy nowojorskim akcentem dodał: "Dowiem się tak prędko, jak to tylko możliwe".

- Bernardi jak żywy - zaśmiała się Kelly.

- Jupe, nie pora na parodystyczne popisy - złapał się za głowę Pete.

Jupiter poprowadził ich do automatu, wrzucił pieniędzy i wystukał numer George'a. Pozostała trójka wyciągnęła szyje w kierunku słuchawki.

- Halo - usłyszeli zdyszany głos George'a.

- Cześć - Jupiter mówił głosem Bernardiego. - Tu Jim.

- Masz ich?

- Noo.

- Uff. Co za ulga - westchnął George. - Z jednej strony czuję się wrednie, ale z drugiej - wiem, że miałeś rację. Jupiter widział, jak grzebię w komputerze. Na pewno by się połapał.

- Jasne.

- A Vic? Masz go?

Jupiterowi głos uwiązł w gardle. Nie miał pojęcia, o czym mowa. Przyjaciele patrzyli na niego równie zaskoczeni.

- Jim, odpowiedz! Ja tu dostaję wrzodów na żołądku!

- Taak - Jupiter nie mógł zdobyć się na nic więcej.

- Rozmowny to ty nie jesteś - powiedział sucho George. - W porządku. Jutro dostajesz czek.

Czek! Jupiter z trudem się otrząsnął. Chodziło tylko o forszę! Bernardi był opłacony. Nie, nie miało sensu doprowadzanie do konfrontacji przez telefon. Poczekaj do jutra. Zrobi to w teatrze, tak żeby jak najwięcej ludzi ich słyszało.

- Cześć - zdołał jeszcze wyjąkać i odłożył słuchawkę.

Kiedy powtórzył końcówkę rozmowy, zapadła cisza. Wydawało się, że minęły wieki, zanim odezwał się Bob:

- No to mamy ostatni kawałek układanki.

- Ale czego George chce od Vica? - zapytał Pete, cały sztywny.

- Być może - zastanawiał się głośno Jupiter - Vic się zbuntował. - Być może to on puścił w ruch obrotówkę. W rozgardiaszu, jaki panował za sceną, łatwo mu było nacisnąć guzik i zniknąć, zanim ktokolwiek się zorientował. Prawdopodobnie nie wiedział, że w tym numerze zamiast George'a występuje zawodowy tancerz.

- Ale Vic wydawał się zaprzyjaźniony z George'em - dziwił się Bob.

- Byli przyjaciółmi do czasu. Teraz, kiedy stało się jasne, że dojdzie do premiery, kiedy bilety wysprzedano na kilka miesięcy naprzód, a Matt Grant podpisał zagraniczny kontrakt, kto zyskałby na kontuzji George'a?

- Jego dubler, oczywiście! - wykrzyknął Pete.

W oddali rozległ się dźwięk syreny.

- Jest karetka.

- Chyba najwyższy czas zadzwonić na policję - Jupiter wyciągnął rękę do telefonu. - Myślę, że będą chcieli zadać naszym przyjaciołom kilka pytań, kiedy ci znajdą się już w szpitalu.

Kelly z niedowierzaniem patrzyła na obu mężczyzn leżących na chodniku.

- Nie do wiary - pokręciła głową. - A wydawali się tacy fajni.

- Fajni do czasu, kiedy postanowili, że za wszelką cenę musi się im udać... - skrzywił się Bob.

- Sukces przede wszystkim. Tak już jest w tym fachu - rzucił Jupiter znad słuchawki.

## ROZDZIAŁ 18

### NAJLEPSZY INTERES TO...

Był jeden z rzadkich listopadowych dni, kiedy nawet w Los Angeles temperatura spada poniżej dziesięciu stopni. Jupiter podciągnął suwak wiatrówki.

- Wydaje mi się, że George będzie musiał sporo zapłacić - powiedziała Kelly. - Adwokat tego tancerza żąda wielkiego odszkodowania za wypadek z obrotówką.

- To i tak nic w porównaniu z forszą, której chcą prawnicy reprezentujący związki zawodowe - dorzucił Pete. - Producenci też nie popuszczą.

- Trudno się im dziwić - pokiwał głową Jupiter. - Mnóstwo ludzi straciło mnóstwo pieniędzy, kiedy sztuka zeszła z afisza. Nie mówiąc o aktorach, którzy zostali bez pracy.

- George i Vic wylecieli. Bernardiego usunęli ze związków. Wiedziałem, że ludzie tracą zainteresowanie "Niebezpieczną strefą", kiedy prawda wyjdzie na jaw. Ale nie mieści mi się w głowie, że to się stało tak szybko. Właściwie wszyscy odwołują rezerwacje.

- Mówiąc prawdę, to nie było wybitne przedstawienie - ostrożnie zauważył Bob.

- Mnie się podobało - Pete był bardzo zmartwiony. - Poza tym występowałem tylko dwa razy.

- No, nie! - westchnął Jupiter. - Co za kabotyń!

Zaśmiali się wszyscy.

Zbliżali się do głównego wejścia do budynku. Zza rogu dochodził do nich coraz głośniejszy szum podnieconych głosów. Na wielkich schodach wejściowych, między imponującymi kolumnami, stały grupki ludzi.

- W swojej książce udowadniam czarno na białym, że duch z dalekiej przeszłości, duch o wyjątkowej sile oddziaływania objawił się w teatrze Garbera...

To Lovell Madeira udzielał wywiadu Jewel Coleman. Przed nimi kamerzyści uwijali się jak w ukropie.

- Czwartego stycznia będę osobiście podpisywał książkę w księgarni Fanelli i Spółka - usłyszeli jeszcze.

- Nareszcie i on ma swój dzień - zaśmiała się Kelly.

- Nie tylko zresztą on - Jupiter wskazał głową tłumek stojący z prawej strony schodów.

Tam inna ekipa telewizyjna otaczała Manny'ego Firestone'a, który tubalnym

głosem oznajmiał telewidzom najnowsze wieści z teatru Garbera.

- Czyż można wyobrazić sobie lepszy temat na sztukę? - grzmiał. - Przeżyłem na własnej skórze wszystko, co tu się działo! Stąd mój pomysł, żeby zatrudnić najlepszego dramaturga w Los Angeles. Robocza wersja tytułu nowego musicalu brzmi »W samym sercu "Niebezpiecznej strefy"«. Murowany sukces! Przedaż biletów rozpoczniemy za miesiąc, ale już od dzisiaj przyjmujemy telefoniczne rezerwacje.

- No i proszę, znowu! - parsknął Pete.

- Co znowu?

- Znowu ktoś obiecuje przerobić nasze przygody na scenariusz. Ostatnio miał to być film sensacyjny!

Pete musiał przerwać, bo nagle z dołu schodów rozległ się podekscytowany pisk. Grupa nastolatków z małymi notesikami rzuciła się w ich stronę.

- No nie! Łowcy autografów! - Jupiter skrzywił się z niesmakiem. - Chyba nie jestem dziś w nastroju.

Zmusił się jednak do uśmiechu i przystanął w oczekiwaniu najgorszego. Tymczasem dziewczyny minęły go i pobiegły za Pete'em.

- Chyba cię usłyszały - zakpiła Kelly.

- No... ja... one... Pete stał wyżej...

- Hej - wielkooka dziewczyna zahamowała gwałtownie przed Jupiterem - ty chyba też występowałeś w tym musicalu, nie?

Jupe rzucił Kelly triumfujące spojrzenie, a potem odwrócił się do swojej wielbicielki.

- O, tak. Ale wydaje mi się, że akurat nie mam przy sobie pióra, żeby...

Zanim skończył, panienka wrzasnęła do koleżanki:

- Pamiętasz go? - i wyciągnęła ręce na boki, wydeła policzki i zrobiła zeza.

Kiwając się na boki, zaczęła skakać po schodach, krzyząc przy tym na cały głos:

- Jestem piłką! Wielką plażową piłką!

Jedna za drugą jej koleżanki robiły to samo.

Biedny Jupiter. Najbardziej na świecie chciał być teraz na Hawajach albo jeszcze gdzieś dalej.

Pete uśmiechnął się do niego współczująco i machając ręką, powiedział:

- Przecież zawsze chciałeś, żeby ludzie przestali kojarzyć cię z Małym Tłuscioszkiem, Jupe.

Patrząc na wygłupy podskakujących dziewczynek, Jupiter rzucił Pete'owi

ponure spojrzenie.

- Ty zawsze wiesz, Pete, jak pocieszyć człowieka!